ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VII. Nr 46/334

LONDYN, 15 LISTOPADA 1953 R.

JANINA WĘGRZYŃSKA — KOŚCIAŁKOWSKA

PASJA Z CERGOWEJ GÓRY

(FRAGMENT Z POWIEŚCI)

Tego roku Wielkanoc przypadała wcześnie, bezkwietna i niewiosenna, pełna kalwińskiej surowości, której nie miał rozjaśnić żaden urok świata. Twardy i nieprzyjazny był kolor nieba, jak twarda i zacięta w zimnie była ziemia. Spuszczały się dniami i nocami długotrwałe, zimne deszcze i nieżyczliwość pogody wydobywała z ludzi nieżyczliwość serc i zły humor. Trzeci miesiąc trwała słota, podbita śniegiem.

Tę właśnie pogodę ksiądz Józef Kutkiewicz uznał za najodpowiedniejszą a nawet wdzięczne tło do tegorocznych rekolekcji i postanowił wyzyskać ją jako sprzymierzeńca. W pewnej chwili zrobiło się dla niego oczywiste, że będzie to dobry wspólnik, czynnik przychylny rozważaniom pobożnym, wolnym od wzruszeń i nastrojów zbyt świeckich, zbyt naturalnych, jakie przy pogodzie mogłyby zakłócić czystość refleksji nad rzeczami absolutnymi. O tych rzeczach będzie mu niewątpliwie łatwiej mówić do tych młodych mężczyzn i młodych dziewczyn, odzianych w nieprzemakalne płaszcze, jednakowe prawie jak habity, zakapturzonych przeciwdeszczowym kapturem, w którym głowy tkwią jak w oddzielnej niszy, odgrodzone od siebie, osobne. Niewątpliwie był to dla niego atut.

W ten sam sposób deszcz stawał się pomocnikiem idealnym przy uroczystości otwarcia na nowo odświeżonego i zmienionego lokalu czytelni i kaplicy. W reżyserię tego momentu ksiądz Kutkiewicz włożył dużo starań i liczył na sukces. Znowu był pewien, że zimna ciemność niepogody za oknami z witrażem, kurtyna deszczu na zewnątrz, stworzą wewnątrz zaciszność skupienia, uszczelnią jeszcze bardziej atmosferę zwartości i dogłębności wzruszeń i niewątpliwie każdy szczegół nowej dekoracji i każde zdanie nabierze wtedy na sile rezonansu.

Był rad. Nawet świeżo dostarczone ozdobne kartelusze z pergaminowego papieru, na których wypisano wybrane przez niego cytaty, przestały go już irytować swoim drukiem zbyt grubym i zbyt czarnym. Nie wyglądały dokładnie tak, jak to sobie był umyślił, ale ostatecznie nie wyglądały źle. Przeglądał je uważnie parę razy, zanim zdecydował plan ich rozmieszczenia na ścianach kaplicy. Było ich dziesięć i ksiądz Kutkiewicz projektował sobie zmieniać je w zależności od sezonów roku kościelnego. Na czas wielkiego postu wybrał cztery, ulegając raczej osobistemu smakowi, niż bezstronnej spekulacji. Były prawie wszystkie wyjątkami z Pisma św. W bezpośredniej bliskości ołtarza z jego prawej strony postanowił zawiesić słowa, które uznawał za pozycję zasadniczą, kluczową: **„Pan rzekł: dam ci poznanie, nauczę cię drogi, którą masz iść, zatrzymam wzrok mój nad tobą“.** Po lewej słowa odpowiadające tradycyjnej i tragicznej lewicy sądu ostatecznego: **„A iżeś ani letni ani gorący, przeto pocznę cię wyrzucać z ust moich“.** Dalej pod małym okrągłym oknem, przypominającym okno gołębnika lub kajuty okrętowej, szedł cytat o radości ludzi czystego serca, a naprzeciwko ów mówiący o ptakach niebieskich i liliach polnych.

Ten cytat kłopotał księdza Kutkiewicza i im dłużej mu się przypatrywał, tym kłopot stawał się wyraźniejszy, aż wreszcie poezja nad poezjami tych słów stała się uciążliwym problemem. Czy można było słowa podobne umieścić w kaplicy emigrantów, ludzi przedziurawionych jak sito długoletnią już walką o każdy dzień codzienny, o prymitywne utrzymanie się przy życiu wśród cudzych i często nieprzyjaznych ziem, miast i pól? Przez to sito ich poranionych serc, przez te oka-luki, które wyżarła w ich duszach twarda, zbyt twarda rzeczywistość, te słowa przeleciałyby jak woda. I on, Józef Kutkiewicz, zarzucający wiecznie rodakom, że ze swych codziennych zagadnień uczynili martwą wodę stawną, mętną i stojącą, zamiast toczący się, prący sobą kamienie górski potok, on, powtarzający wszystkim, że gdyby losy emigrantów ścisnąć mocną garścią, zostałaby bardzo niewielka grudka żyznego mułu, on, każący stale, że prywatna zła wola nie uwalnia nikogo od wielkości człowieczego przeznaczenia, nie chciał teraz ryzykować powoływania się na ptaki, które ani sieją ani orzą, a które Ojciec niebieski żywi i odziewa. Bał się zgrzytu. Uznał, że byłyby to już za wysokie progi i że większość wiernych potknęłaby się na drobnym jak żwir i jak żwir bolesnym, smutnym cynizmie. Smutnego cynizmu, odpornego na zapał i dowcip, ksiądz Kutkiewicz bał się najbardziej ze wszystkiego na świecie.

Z innym brał się odważnie za bary, a nawet — rzecz szczególna — nauczył się niektórych jego chwytów. Nauczył się rozbijać zbytnią przyziemność ludzką za pomocą dobrodusznej złośliwości i lekko ośmieszał nałogowe już i typowe utyskiwania emigrantów, podważał ich łatwe rozgrzeszanie się z okolicznościowej moralności i letniości, łagodnie obniżał wymiary skarg rodaków i ich nieszczęść. Jakże często byli po prostu ludźmi małego serca i małej wiary! Nauczył się śmiać w sposób charakterystyczny i szczególny, jak gdyby wszystko było zabawnym nieporozumieniem a ważność leżała gdzieś poza krajem doraźnej i nieciekawej teraźniejszości. Bezwiednie wyzyskiwał do tego celu swój naturalny dar, jaki stanowiły zęby rzadkiej piękności, przedziwnie równe i przedziwnie białe. W twarzy szarej i poznaczonej nieco ospą, zęby te, kiedy odsłaniały się nagle głębokim łukiem, sprawiały efekt niespodziewanego pchnięcia. Zdarzało mu się niekiedy roześmiać się w momentach rozmowy zupełnie nieoczekiwanych i tym śmiechem, jak znienacka wydobytym kindżałem, rozdzierać całą materię tematu. Zbijał tym ludzi z pantałyku i mieszał im szyki. Starsi nie zawsze byli temu radzi, ale dla młodzieży ten śmiech stanowił urok osobliwy, szła od niego dziwna otucha i pokrzepiająca pewność siebie, zaufanie do jakiejś sprawy skomplikowanej i ukrytej, ale widocznie słusznej. Podejrzewali jakiś pasjonujący sekret. A Kutkiewiczowi szło o młodzież i prawie tylko o młodzież.

Ów sekret leżał istotnie poza tymi pozorami nonszalancji i lekkiej impertynencji wobec rzeczy wyłącznie świeckich, był zaś sprawą tak intymną i niepospolitą, że graniczyła z nieprawdopodobieństwem i powodowała wieczny niepokój. Ksiądz Kutkiewicz przypatrywał się jej stale, siląc się na wszechstronną krytyczność, ale umykała obserwacji, zostawiając go sam na sam z nagim faktem i bezradnością wszelkich komentarzy. Faktem tym było jego osobiste, stale towarzyszące mu uczucie szczęścia. Nie znał jego źródeł, a te, które starał się odkryć, nie wystarczały. Zapewne, był w sytuacji uprzywilejowanej człowieka na swoim posterunku, niedostępnej dla innych, swój zawód księdza mógł wykonywać wszędzie i przezeń należał do awangardy wojującego Kościoła, do ofensywy światowej, coraz bardziej przybierającej na sile i podczas gdy inni jego współrodacy zaskorupiali się w bezwładnym bezruchu lub dyskutowali chaotycznie o przyszłości, on odsadzał się z kopyta i rwał po ubitej, zachwaszczonej wprawdzie, ale znanej sobie drodze, której był bezwzględnie pewien i w którą niezachwianie wierzył. Dane mu było od życia móc mieć inicjatywy i móc je ziszczać. W swoim niedzielnym piśmie „Barykady“, które redagował, czuł się istotnie na barykadzie, kiedy pobierał decyzje, wyszukiwał środki, gromadził materiały do uderzeń na przeciwnika swojej sprawy, zapalał ostrzegawcze ognie, dowodził, niósł na sobie cząsteczkę najwyższych odpowiedzialności.

Było to udziałem niewielu emigrantów, był więc niewątpliwie wyjątkiem i wybrańcem losu. Nie szarpały go troski materialne, jako duchowny nie posiadał „swoich“ i nierzadko, w stosunku do obarczonych kłopotami rodzinnymi ludzi świeckich, czuł pewne zażenowanie. W dodatku, zapracowany zawsze po uszy, nie miał prawie żadnych potrzeb osobistych i żadnych pokus. Dni i noce przywierały do siebie, jak żołnierski szereg do szeregu, toczyły się jednym rytmem, podpierały wzajemnie, wspólnie, mocno, hermetycznie jak sjamskie rodzeństwo. Buchająca, jak krew, energia dawała się przelewać w koleiny i ścieżki prężnej, uwodzącej jak kobieta, radosnej pracy, życie dawało się ciąć w regularne i proste bryły, którymi — jak wierzył — kiedyś w przyszłości będzie można zabudować świat. Ale te wszystkie racje, konkretne i oczywiste nie wystarczały do zrozumienia tego osobliwego stanu, jaki napadał go często, coraz częściej i nękał swoją nowością, wstrętem tak intensywnym, że nie można było, jak tego z początku oczekiwał, przejść mimo. Objawiało się to „dziwne“ jako rozpierający go od wewnątrz zanik wszelkich reakcji, prawie bezwład, tak mocny, że wszystkie sprawy tego świata oraz to co kwalifikował jako sprawy „tamtego świata“ rozpraszały się raptownie i całkowicie.

Ataki te zdarzały mu się bez żadnego związku ze zdarzeniami jakiegokolwiek porządku, ani nawet z biegiem jego wiecznie zaprzątniętych, trzeźwych myśli (tą trzeźwością szczycił się całe życie), ani nawet z okruchami cudzych przeżyć i problemów. Zdarzały się wszędzie, w jego pokoju, w kościele, w redakcji pisma, na ulicy. Spadały nagle i bez żadnego wstrząsu ogarniały go bez reszty. Musiało widocznie istnieć w nim samym jakieś miejsce, które nadeptywał bezwiednie i którego nie znał, skąd wylewał się ten nastrój szczytowej ciszy i jak gdyby uczucie rozrzedzonego powietrza. Nastrój ów izolował go natychmiast od wszystkiego wokoło. Szczęśliwość nieznanego pochodzenia, pokora rozproszenia się aż do zatraty czasu i przestrzeni, radość przepuszczania przez siebie fali zachwytu bez przedmiotu, nicość myśli i brak odruchów przenikały go wtedy do szpiku kości i jedyne co zostawało do uchwycenia, to był błysk świadomości, że coś dzieje się na wskroś.

Niewątpliwie był to przede wszystkim spazm pokory. Tylko ona objawiać się mogła tą nieprawdopodobną i szczęśliwą zgodą na wszystko, a „wszystko“ ukazywać jako jedną całość, wprost chemicznie jednorodną, uchwytną w tym momencie przez jakiś jak gdyby zmysł szczególny i dodatkowy, zmysł-niezmysł. Widok świata ulatniał się — bruk, kamienice, drzewa, kapelusze kobiet — a to miejsce wypełniało drżenie drobne i jednostajne, nic w sobie nie zawierające prócz zatarcia normalnych zjawisk, jak gdyby wszystkie rzeczy nie były jeszcze okrzepłe w swych formach, ale właśnie stawały się w tym momencie i chwiały się jeszcze gorące, jeszcze półpłynne, chwytając z trudem własne prawa materii. Gdy zdarzało się to w dzień pogodny, owo rozczepianie się i egzaltacja znanej i namacalnej zwyczajności, miało jeszcze w sobie świetlistą ciepłość, pył gęsty i złotawy. Tak zapewne ludzie pobożni wyobrażali sobie łaskę.

Lecz myśl o łasce, myśl, która zwabiona dziwacznością tego stanu, przeleciała raz na moment przez mózg Kutkiewicza, odrzucił natychmiast z uczuciem prawdziwej zgrozy, jak świętokradztwo, jak zgrzyt nieudanego żartu. Natychmiast też odrzucił to, co się z nim działo jako radość życia, nic tylko radość, w całej jej czystości i prostocie, w całej cudotwórczej sile zachwytu, jakim życie umiało oszałamiać i znalazł na krótko doraźną ulgę w tej definicji spokojnej i rzeczowej. Miał nieprzeparty strach i niesmak wobec wszelkiej afektacji. Swój metafizyczny z natury rzeczy zawód duchownego traktował z surową rzeczowością, wymagając od siebie tym większego wkładu trzeźwości i rozumowego poznania tutejszego, ziemskiego życia, im głębiej miał wtajemniczać w zaziemszczyznę. Siebie samego zaliczał do kategorii „gwałtowników“, o których mówi Pismo Święte i to określenie odpowiadało tak całkowicie jego naturze urodzonego pioniera, że jakakolwiek inna interpretacja byłaby dla niego kłopotliwym i uciążliwym balastem. Jako „gwałtownik“ mógł nie troszczyć się zbytnio o stany przelotnych, takich czy siakich zwątpień, nie rozpraszał się też na sentymentalnych wdziękach religii, był wolny od niezdrowej, jak twierdził, drobiazgowości autoanalizy i szedł w swoją robotę jak w blok.

Do własnych momentów zniechęcenia odnosił się z takim samym pobłażliwym cynizmem, jak do niedowiarstwa innych i załatwiał się z nimi krótko, traktując je jak coś w rodzaju kataru, rzecz przejściową i nieważną. Na tej swej pozycji „niebieskiego gwałtownika“, nie precyzując tego jasno sam przed sobą, nie potrzebował — prosto rzecz biorąc — żadnych środków podniecających, żadnych natchnień szczególnych czy doznań objawionych. Co zaś do łaski, to czyż nie było najwyższą łaską to, że po prostu żył?...

Ale jednak owa „radość życia“, nahalna i nieustępliwa, nękała go. Uznał ją za zbytek, za eksces. Takie napady błogości, które go nawiedzały były zapewne czymś zrozumiałym i naturalnym u artysty lub świętego, ale on, ksiądz Kutkiewicz, nie był ani artystą ani świętym. W wielkiej potrzebie zrzucenia z siebie dziwnego fenomenu, modlił się żywo i natarczywie o prostotę i zwyczajność swojej duszy i swojej służby. Natarczywie nalegał. Odwiązał z mszalnego kielicha taśmę tkaniny, chroniącą przez zużyciem cyzelowany uchwyt trzonu powyżej podstawy i kiedy wznosił kielich w czasie Podniesienia, na twardych wypukliznach ornamentu zaciskał palce z taką siłą, że bielały jak kości. Przenikał go wtedy dosadny ból. Jak gdyby chciał tym bólem odcedzić tamtą niezasłużoną radość i wygnać jej niepokój. Jak gdyby wbijając palce w zimny metal, mógł tym fizycznym naciskiem na liturgiczny akt przeistoczenia, posiąść znowu niezakłóconą równowagę i strącić z siebie wszelkie zakusy niezrozumiałych przemian, od których szedł lęk.

Szukał ujścia. Aż zdecydował pewnego dnia, że powinien wywlec to z siebie, poza krąg swojej prywatnej osoby, przelać na zewnątrz, poradzić sobie raz jeszcze metodą walki wręcz, twarzą w twarz.

W ten sposób poczęły się i narodziły wielkanocne kazania o szczęściu.

Była to pokusa straszliwa. Zjawiła się wreszcie, jako zamiar przeniesienia na innych tego, co gotowało się w nim i prażyło, a trud, który z sobą niosła, zabijał w zarodku myśl, że jest nią w ogóle. Józef Kutkiewicz znał dobrze wyrafinowane zasadzki pychy, wiedział jak chytrze karmi się ona sokami pokory i pisząc tekst pierwszej nauki rekolekcyjnej, nie spuszczał z oka ani jednego słowa. Raz w raz zatrzymywał się na owym wewnętrznym, sobie właściwym „aha“, które rozlegało się w nim częstokroć, gdy udawało mu się dotrzeć do sedna jakiegoś nieporozumienia lub przychwycić błędy w pracy nad numerem „Barykady“. Ale teraz, to jego „aha“ miało stale charakter aprobaty i było jedynie wyrazem niespodziewanego odsłonięcia się jakiegoś dalszego ogniwa, jak gdyby brnął przez nieznany sobie, ciemny korytarz o rozstajnych wciąż zakrętach, gdzie nagle znajdował wskazujący kierunek napis. Pisał szybko o potrzebie rozpoczęcia wszystkiego od samego początku, który się ludziom urwał. O tym, że ludzie po wojnie wyrastali, plenili się, żyli jak rośliny na glebie bez nawozu, bez potrzeby szczęścia i jakby w zupełnej niewiedzy o jego istnieniu. Że przez to przestała działać zasadnicza sprężyna i racja ich gatunku. Że poprzestawali na śmiesznych dawkach wysiłków nad poprawieniem sobie doli, pochłonięci wielkim mozołem nad małą zdobyczą, obracali się wyłącznie na osi dnia codziennego, pławili się w złych wspomnieniach i przewidywaniach jeszcze gorszego. Że czekali wciąż na nieszczęścia osobiste lub apokaliptyczne, które jako nieuchronne, zwalniało ich rzekomo od wszelkich zrywów instynktu samozachowawczego. Zbutwieli w szarzyźnie, zwyczajni każdego zła, jako jedynej prawdziwej niezawodności. Pisał o tym, że poznawszy piekło czasu wojny, spoufalili się z nim, niektórzy posiedli jego arkana, inni chcieli je posiąść, a najlepsi zachowywali dyskretne i wstydliwe milczenie nad tym, przez co przeszli sami lub o czym wiedzieli albo usiłowali żyć szybko i przyjemnie, kiedy już dawno stracili władzę nad sensem tego słowa. Że szczęście stało się anachronizmem a samą nazwę zaciągało już bielmo śmieszności.

„A przecież tylko ono może usprawiedliwić — pisał — straszliwą samotność i niepowtarzalność naszego życia, tego tajemniczego stanu, że oto nadchodzi dzień i nadchodzi noc, których jesteśmy bezwolnymi i bezradnymi świadkami. I złość czujemy w sobie i mściwość za ową bezwolność, z którą powołano nas do życia jak na widowisko puste, gdzie nie rozumiemy żadnego słowa, jak w cudzoziemskim teatrze. I wtedy chcemy zniszczyć cudzy dzień i cudzą noc, ponieważ powiększają one chaos naszych własnych dni i nocy. Musimy nienawidzieć bliźnich, ponieważ nie umiemy kochać samych siebie. Nie jest to rzecz ani łatwa, ani prosta kochać samego siebie i bardzo niewielu z nas posiada tę sztukę i ten dar. Jesteśmy wszyscy ofiarami złej miłości samych siebie. Ponieważ upokorzenia przeszłych cierpień natchnęły nas niechęcią do nas samych, jako do świadków własnych nieszczęść i błędów i tego świadectwa nie możemy usunąć. Ponieważ nie domagamy się za nie żadnej zapłaty i żadnych odszkodowań i nie wiemy gdzie ich żądać ani gdzie szukać. Są one wypłacane tylko w jednym jedynym kraju, który

(Ciąg dalszy na str. 2)

SED CONTRA

CNOTA

„...cnota, sama w sobie, jest nieciekawa i z góry wiadoma, cnota jest załatwieniem sprawy, to jest śmiercią; grzech jest życiem. I cnota może stać się żywotna tylko jako przezwyciężenie grzechu, który poza tym jest oryginalny, jest czymś co nas wyodrębnia i określa. Natura ludzka objawia się w grzechu, w żywotnej ekspansji, i ten, kto nie zaznał takiego okresu żywotności, kto od dzieciństwa był cnotliwy, nie wiele będzie wiedział o sobie.“

I dalej: „...cnota nie polega na ukrywaniu grzechów, ale na ich przezwyciężaniu, cnota prawdziwa nie tylko nie boi się grzechu, ale go szuka — gdyż on jest racją jej istnienia.“

Tfu! Ki licho? Niestety nie licho, a przez wybitnego polskiego pisarza emigracyjnego przemawiający duch polskiego — i nie tylko polskiego — błachutyzmu. Cnota pojęta jako sztywna norma, „załatwienie wszystkiego“, „śmierć“, której racją bytu jest — *risum teneatis amici* — grzech. Z czego wynika, rzecz jasna, że Matka Boska była (duchowo) martwą istotą — bo przecież była łaski, a więc i cnoty pełna. Skądinąd jednak wynika, że Matka Boska nie mogła posiadać żadnej cnoty, bo, będąc niepokalanie poczętą, nie znała grzechu, który jest racją cnoty. No, ładnie. Ale nie sięgajmy tak wysoko. Święty Franciszek musiał być śmiertelnie martwy i nudny, jako, że przecież był święty, a więc chyba cnotliwy; albo może nie był wcale cnotliwy, bo, jako święty, nie grzeszył. Święta Teresa z Awilli, która, o ile wiadomo, „nie zaznała takiego okresu żywotności“, musiała niewiele wiedzieć o sobie. A już o. Kolbe poświęcił się za współwięźnia całkiem mechanicznie, jak martwy kamień — bo cnota jest śmiercią, a miłość chrześcijańska, cnota największa, musi wyglądać w oczach błachuterów jak grobowy kamień.

Nie, naprawdę; jeśli tak, to ja będę chyba nazywał odtąd krowę logarytmem i sylogizm popielniczką. Dlaczego nie? Ale oto, czym cnota naprawdę jest.

1. Najpierw nie jest normą: jest natomiast „sama w sobie“ dobrą sprawnością duchową, to jest dyspozycją umożliwiającą sprawne, mocne i stosunkowo łatwe wykonywanie takich czynów, jakie człowiek wykonywać powinien. Jest nie śmiercią, ale warunkiem duchowego czynu, a więc życia.

2. Nie ma nic oryginalniejszego od cnoty. My ludzie, także jako duchy, mamy oczywiście wspólny cel i pewne wspólne normy działania — ale w konkretnych warunkach działanie cnotliwe jest dla każdego inne. Pochodzi to stąd, że każdy człowiek właśnie jako duch jest oryginalny, posiada inne możliwości, a więc inne zadania. Natomiast grzech może być w szczegółach oryginalny, ale w zasadzie jest i zawsze będzie znacznie bardziej schematyczny od cnoty: bo jest — przynajmniej w olbrzymiej większości wypadków — poddaniem się ducha pod prawa naszej pod-duchowej natury, rządzonej przez deterministyczne popędy. Co zrobi dziś po południu święty, tego nikt powiedzieć nie może; natomiast, że pijak pójdzie do baru, to pewne.

3. Grzech nie jest ani racją, ani nawet warunkiem cnoty. Skąd ten pomysł? Cnota zakłada tylko jedno: wizję ideału i wolę dążenia do niego. Może ktoś powie, że wizja ideału jest odwrotną stroną wizji upadku. Zapewne; sęk tylko w tym, że aby cnotę w sobie budować, trzeba widzieć ją z tamtej strony, od wielkości, nie z tej, od upadku.

4. Poznanie siebie daje cnota, nie grzech. Grzech niesie otępienie, *hebetudinem mentis;* cnota zakłada zawsze roztropność, jasny wzrok duchowy. Kto za cnotę bierze rutynę i mechaniczne spełnianie społecznie narzuconych funkcji, ten nie wie o czym mówi.

Ale po co ja to wszystko piszę? Przecież ja nikogo nie przekonam. Przecież tu wcale nie chodzi o zagadnienie semantyczne, ale o ideał życia. Bywa i taki, co ten ideał kreśli sobie mniej więcej następująco: nadużyć zaufania przyjaciela, okraść go, potem urżnąć się i iść na dziewki. Ot, oryginalność! Wot żyzń! Oto pełnia człowieczeństwa! Wódz, grający w kryzysie bitwy, jak artysta woli na porwanych strunach swojej armii — szczyt ideału cnoty roztropności — to martwa istota; decyduje i działa dlatego, że myśli o grzechu, że mógłby uciec, nieprawda? Święty dzielący się w obozie koncentracyjnym chlebem, od którego zależy jego własne życie, to marny, nieciekawy typ. Norwid piszący o swoim kraju to duchowy trup — chyba, że racją tego pisania była u niego myśl o możliwej zdradzie. Tfu! Tfu! A co najgorsze, ja sam, pisząc w sposób, który (obawiam się) nie jest całkiem martwy i „załatwiony“, jestem oczywiście niecnotliwy. Na to mi przyszło!

I. M. B.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Chińczycy w diasporze. Z tej strony żelaznej kurtyny żyje ponad 22 miliony Chińczyków: na Formozie, w Macao i Hong-Kongu, poza tym w wielu krajach, głównie w Azji południowo-wschodniej; w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej około 100.000, w Kanadzie 50.000, we Francji liczba ich spadła z 15.000 przed wojną na około 1.200. Nawrócenie tych żyjących w rozproszeniu Chińczyków na katolicyzm ma znaczenie podwójne: ze względu na nich samych i ze względu na Chińczyków żyjących w ojczyźnie, z którymi emigranci utrzymują kontakt. Dlatego kilka miesięcy temu Rzym przystąpił do zorganizowania wśród Chińczyków w krajach wolnych nawracania, powierzając je biskupowi wypędzonemu z Chin, Van Melchebeke. Dysponuje on obecnie 250 księżmi chińskiego pochodzenia, a za niecałe pięć lat będzie ich miał około 500, nie licząc duchowieństwa nie-chińskiego.

Stan katolicyzmu w świecie. Ks. Adrien Bouffard opublikował w „Prêtre et Missions" studium o stanie katolicyzmu w świecie. Na 2.440.000.000 ludzi na całej kuli ziemskiej do Kościoła katolickiego należy 472.000.000, do kościołów schizmatyckich 200.000.000, protestanckich 250.000.000: w ten sposób chrześcijan jest 922.000.000. Do krajów mających największe ilości katolików należą: Włochy — 57.500.000, Brazylia — 48.000.000, Francja — 35.000.000, Polska — 32.000.000, Stany Zjednoczone — 30.000.000, Hiszpania —28.900.000, Niemcy — 26.500.000, Meksyk 23.000.000, Argentyna — 16.000.000. Przyrost roczny katolików wraz z nawróconymi wynosi około 7.000.000; schizmatyków i protestantów ponad 10.000.000, a innych wyznań 15.000.000. Pod władzą komunistów żyje 784.000.000 ludzi, to znaczy 32% ogółu ludności świata, ponadto komunizm łączy się z islamem dla utrudniania nawracania na katolicyzm, co stwarza prawie niepokonalne w tamtych krajach trudności misjonarzom katolickim. Kraje muzułmańskie liczą 198.000.000 ludności, wśród której w 17 krajach rozrzuconych jest zaledwie 2.690.750 katolików. Ilość duchowieństwa katolickiego wynosi w Europie 246.356, w Ameryce 86.564, w Azji 16.821, w Afryce 9.340, w Oceanii 3.978. W tej liczbie 26.840 księży działa w ofensywie w krajach nie-katolickich, wśród 1.968.000.000 nie-katolików.

Kapelusz kardynalski. 29 października Papież w sali konsystorialnej nadał w czasie prywatnej ceremonii kapelusz kardynalski pięciu kardynałom: Gaetano Cicognani, Angelo Giuseppe Roncalli, Pietro Ciriaci, Beniamino de Arriba y Castro, Fernando Quiroga y Palacios. Kardynałowie ci nie wzięli udziału w uroczystościach po nominacji nowych kardynałów w dniu 12 stycznia bież. roku, ponieważ zgodnie ze zwyczajami kościelnymi otrzymali biret kardynalski z rąk głów państw. Nakładając kapelusz kardynalski, Papież wypowiada formułę, która w chwili obecnej ma szczególną wymowę: „Na chwałę Wszechmogącego Boga i ozdobę Świętej Stolicy Apostolskiej przyjmij kapelusz czerwony, szczególną oznakę godności kardynalskiej, przez co zaznacza się, że powinieneś okazać się nieustraszonym, aż do wylania krwi włącznie, w dziele wywyższania Świętej Wiary, pokoju ludu chrześcijańskiego, wzrostu i stanu Rzymskiego Kościoła."

Sprawa kanonizacji błog. Piusa X. W Świętej Kongregacji Rytów 27 października na sesji tzw. przygotowawczej odbyła się dyskusja nad dwoma cudami przypisywanymi wstawiennictwu błog. Piusa X już po jego beatyfikacji. Odbędzie się jeszcze jedna dyskusja w obecności Papieża, po czym po wydaniu dekretu „Tuto", stwierdzającego, że można bezpiecznie przystąpić do kanonizacji, następuje sama uroczystość kanonizacyjna z nieomylnym wyrokiem Ojca św. W razie kanonizacji błog. Piusa X, co zdaje się jest tylko kwestią czasu, Pius X będzie pierwszym papieżem kanonizowanym po św. Piusie V, który rządził Kościołem w latach 1566-1572.

Konkordat między Stolicą Apostolską a Hiszpanią. Po uchwaleniu przez parlament hiszpański ratyfikacji konkordatu zawartego w dniu 27 sierpnia między Stolicą Apostolską a Hiszpanią, nastąpiła w dniu 27 października w pałacu watykańskim wymiana dokumentów ratyfikacyjnych.

Nowy dziennik katolicki. W Quito, stolicy Ekwadoru, zacznie od nowego roku wychodzić nowy dziennik katolicki „Union Católica".

Przyjaciel trędowatych. Zaproszony przez rząd portugalski prof. Raoul Follereau, zwany „wagabundą miłości", odwiedził trędowatych w Mozambiku. Zwiedził szpital w Wysokim Molocue, skąd zostało zwolnionych 108 trędowatych po zastosowaniu sulfonu. Uczony udał się następnie do Nairobi w Kenyi.

Wizyty dyplomatyczne w Watykanie. Dnia 20 października Papież przyjął króla Jordanii Husseina Talala I na audiencji w swej bibliotece. W czasie rozmowy poruszył Papież sprawę katolików i instytucji Kościoła katolickiego w królestwie Jordanii. 22 października papiery uwierzytelniające złożył Papieżowi dr Józef Saouda, pierwszy ambasador Libanu. Jak wiadomo, rząd Libanu z dniem 2 czerwca podniósł swoją reprezentację przy Stolicy Apostolskiej do godności ambasady.

PASJA Z CERGOWEJ GÓRY

(Ciąg dalszy ze str. 1)

leży poza granicami wszystkich innych. Jest to kraina wzgórz wiekuistych. Nie jest to kraina nie z tego świata, ale z tego. Drogą, która prowadzi do ich posiadania, jest pożądanie. Jest to jedyne prawdziwe pożądanie człowieka i ono kształtuje krajobraz ziemi, a gdy go zabraknie, krajobraz jest taki, jaki znacie — są to ruiny i nieporządek rozpaczy."

Przypomniał sobie osobliwy rysunek, który wyciął kiedyś z artykułu o Rajmondzie Luliuszu, napotkanego w jakimś miesięczniku i schował u siebie. Był to kolorowy przedruk fantazyjnej mapy, w jakich lubowała się średniowieczna astrologia i kartografia, mapy przedstawiającej podróż do szczęścia. Ogromny gwiaździsty płat firmamentu wyobrażał wszechświat, wewnątrz którego tkwiła kula ziemska, pocięta rzekami wiary, nadziei i miłości, o gęstej, jak korzenie drzewa, sieci dopływowych strumyków-pomocników żarliwości i pietyzmu. Rzeki opływały gwałtownymi skrętami skały pokus i zasadzek szatana oraz czarne doliny upadków i grzechu, biegnąc skroś zielonych łąk i wysp kwietnych. Z łąk tych wyrastały na podobieństwo roślin dwie postacie ludzkie o stopach zrośniętych w kształt krzewu, mężczyzny, trzymającego w ręku słońce i kobiety, osłaniającej brzuch rosochatym księżycem. Ich prawe ramiona wzniesione były do góry i podpierały krawędzie wzgórz wiekuistych, szczyty wzgórz rozpływały się w różowej barwie, kolorze obietnicy, jaki miewają czasem pogodne zachody słońca, gwarantujące noc ciepłą i cichą. Barwa ta sięgała aż do brzegu obrazu, który w jednym rogu przedstawiał wizerunek klepsydry, w drugim wagi.

Ksiądz Józef Kutkiewicz lubił ten rysunek nieporównanej naiwności i absolutnego spokoju. Wzruszał się jak chłopiec, oglądający z dawna wymarzoną zabawkę, gdy studiował pilnie drobne łacińskie nazwy strumieni, które zasilały rzeki dobra i jeziora zła. Ku „Mare Tenebrarum" spływały szczególnie zawijanym nurtem, tam też rosła mnogość nieprzebrana nieznanych kwiatów i wyginały się krzewy złotolistne, pawie rozpinały ogony i jednorożec, wzniósłszy głowę do góry, rżał ku niebu, które przesłaniała mu bujna para buchająca z nozdrzy.

Chwilami jednak ogarniało Kutkiewicza bolesne zniechęcenie. Rzecz cała wydawała mu się niemożliwa. Wysiłek wyrażenia tego, co czuł, stawał się pretensjonalnym absurdem, słowa zawodziły w momencie, kiedy zdawało mu się, że już, już przemykają przez mózg i skraplają się w określenia właściwe, uchwytne, jasne. Załamywało się przystawanie ich do istoty rzeczy, podpływały luki, kłębiły się wzdęcia zasadniczego tematu i wszystko groziło rozsypaniem się w nicość. Stawał bezradny wobec progów — jak podejrzewał — poetyckości, wobec której zasada gwałtownictwa przestawała już działać. Czarodziejska esencja kolosalnego porządku, w który wierzył, ulatywała w niedosiężność. Wtedy chodził dużymi krokami po pokoju, palił i gasił papierosa jednego po drugim, strzepywał machinalnie nieistniejący kurz na półkach z książkami, nad którymi zawieszona była Ona, Madonna Pięcioprzymiotnikowa, towarzysz stały i wędrujący z nim przez wszystkie kraje uchodźczych kolei. Tę statuetkę zakupił był w antykwariacie w Weimarze, w parę dni po opuszczeniu obozu w Buchenwaldzie, w uczuciu bezmiernego zdumienia, że oto wraca w świat ludzi żywych i żyjących, niedowierzając jeszcze żadnemu zmysłowi. Stała się więc Matką Cudownego Zdarzenia, Panną łaskawą, Panną możną, Zwierciadłem dobroci a nade wszystko Panną przedziwną. Nigdy nie mógł naprawdę uchwycić wyrazu jej twarzy. Długie brwi unosiły się nad wypukłymi powiekami tak wysoko, że nadawałyby jej nalot osobliwej ironii, gdyby nie uśmiech pełen przyrzeczeń i słodyczy. Ale teraz, po raz pierwszy od lat, te przyrzeczenia wydały mu się nagle zbyt zagadkowe i dalekie.

Wieczorami zamykał się w konfesjonale i spowiadał nielicznych penitentów w kaplicy, która mieściła się w tym samym domu na parterze, przerobiona z dużego, ongi biurowego lokalu, pachnąca ostro wonią dopiero co odświeżonych murów i wilgocią. W godzinach spowiedzi zalegał ją prawie mrok, skąpe lampy ledwo pozwalały się rozejrzeć we wnętrzu. Nie od razu też zauważył pewnego dnia, niezwyczajnego tam gościa, gdy ten wszedł. Wpatrywał się weń długą chwilę nad głową spowiadającej się studentki medycyny, zanim poznał.

Wtedy słowa absolucji drżały mu z lekka na wargach. Przeleciało przez niego wielkie zdziwienie a potem strach. Nie mylił się. Ta stojąca podle drzwi wysoka sylwetka, to był Jan Dulęba. Poznał go po pochylonej nieco głowie i włosach świecących. Jak kiedyś, jak dawniej...

Od razu też cała zeszłoroczna historia zbrodni w Saint-Yorre-des-Champs stanęła mu w pamięci, w cieniu i ciszy kaplicy. Ksiądz Kutkiewicz przecierpiał wtedy tę sprawę osobiście, jak gdyby tyczyła w jakiś sposób jego samego; kosztowała go wiele nerwów, przewracała w nim zdarzenia dawne, dręczyła bezsilnością. Zostało po niej jakieś dolegliwe miejsce, które odezwało się teraz.

Jan Dulęba był jego krajanem, pochodzili obaj z tej samej podgórskiej wyżyny, zielonej od lasów i błękitnej od cienia gór, gdzie rzeka Urwa przebijała się malowniczo, dzika Urwa i wspaniała. Na jej ostrych, niebezpiecznych prądach Dulęba był mistrzem i przewodnikiem Kutkiewicza, kiedy jako młody wikary oddawał się całkowicie ukochanemu nałogowi rybołóstwa; wyprawiali się świtem, zmierzchem, w południe, w serce rzeki i w środek własnych serc. Rzeka rzucała się, sama jak ryba, nadziana na hak, utrzymywanie się w jej wiecznie złych karbach, wydzieranie z jej kąśliwej toni połowu było rozkoszą idącą w szpik każdej kości. Czasem, po nocach Kutkiewicz śnił te dreszcze minionej namiętności i strząsał z siebie po przebudzeniu jak chlust fali. Odgradzał się od wspomnień. Ale, jak wtedy, tak i potem w lat dziesięć, na emigracji, Jan Dulęba był jednym z niewielu ludzi, dla których żywił sentyment złączony z szacunkiem. Ten chłop, zamknięty w sobie i niewierzący miał w sobie zwartość i bezkompromisowość, której nie imał się nawet jego, Kutkiewicza, wojujący zapał Bożego milicjanta. Twardością i czystością charakteru przypominał kawał górskiego kryształu. Wierny krajobrazowi, z którego wyrósł, szukał długo miejsca swego osiedlenia we Francji, aż znalazł je w końcu w Pirenejach, na farmie dużej, zaniedbanej i pięknej. Wziął ją do spółki na prawach połownictwa z innym osadnikiem, człowiekiem zamożnym, Marcinem Urodą. Ten człowiek obrotny, znający język baskijski i miejscowe stosunki, był podobno kombinatorem chytrym, zbyt chytrym, sprzedawał, rzekomo „z demobilu", odbiorniki radiowe, odzież, amerykańskie papierosy, handlował walutami i złotem. Powinęła mu się noga na stacjach nadawczych, kiedy to policja zarządziła w jego domu rewizję i wykryła nielegalność jego operacji handlowych. Rzecz oparła się o sądy, a sprawa wzięcia owej farmy rozbiła się całkowicie. Dulęba nie miał pieniędzy. Podobno wpadł wtedy w dziki gniew i byli świadkowie, że szary jak sama ziemia, odgrażał się, że zabije Marcina Urodę. Do czasu rozprawy sądowej, Urodę, za znaczną kaucją pozostawiono na wolnej stopie, ale w parę dni po tym zarządzeniu znaleziono jego trupa, ogołoconego z pieniędzy, których nosił przy sobie stale poważną sumę. Podejrzenie padło na Dulębę i wtedy ksiądz Kutkiewicz poruszył wszystko, aby mu pomóc. Pisał listy do jego adwokata, wystawiając Dulębie pochlebne świadectwa, śledził przebieg sprawy krok po kroku, rozmawiał z osobami wpływowymi, modlił się o jego uniewinnienie. Wreszcie, ustalone w czasie dochodzeń, dość skomplikowane alibi Dulęby wystarczyło do umorzenia śledztwa przeciw niemu, zbrodnię zakwalifikowano jako mord rabunkowy i poszukiwano właściwych sprawców. Lecz, jeżeli był ktoś, kto niezupełnie wierzył w prawidłowość wyroku, to był to jeden człowiek tylko, ksiądz Kutkiewicz. Ani na chwilę nie podejrzewałby Dulęby o mord rabunkowy. Ale zemsta?...

Podobno farma, o którą poszło, w Saint-Yorre-des-Champs, przypominała krajobrazem wieś Tarnice, wieś nad Urwą...

Siłą woli, ksiądz Kutkiewicz odwracał się od przeszłości. Żył dniem dzisiejszym i jutrem, jego prawdziwa ojczyzna leżała w dniach przyszłych i wykarczowywał ją pomału z chaosu świata, aby nic nie mogło mu już jej odebrać po raz wtóry.

Odbierał mu ją teraz widok Jana Dulęby. Jak błyskawica przemknęła mu myśl, że Dulęba może przyszedł się spowiadać. Zdarzały mu się parokrotnie wypadki słuchania spowiedzi ludzi niewierzących. Zdjął go nagły, oszałamiający strach. Jeżeli Dulęba zabił, on, Kutkiewicz, nie chciał być powiernikiem tej zbrodni. Wszystkich innych, ale nie jego. Zdawało mu się, że spowiadałaby się cała tamta przeszłość, cały tamtejszy ukochany świat nad Urwą zwaliłby się znowu ciężarem zbyt trudnym do udźwignięcia, a on sam stanie się znowu emigrantem a nie Bożym sługą, prostującym ścieżki Pańskie. Zgubi się w dżungli spraw i rzeczy byłych, on, który szedł tylko naprzód. Jak gdyby osoba Jana była zamkniętą całością i wyznaniem tamtych gór, tamtej rzeki, tamtejszych zdarzeń.

Na wzgórza wiekuiste potrafił zamienić Polskę. Ale nie można było zamienić Urwy ani przełęczy Dukielskiej. Zdawało się księdzu Kutkiewiczowi, że jeszcze dolatuje go echo odbite od Cergowej, które, gdy krzyknął na wyrostka idącego skalistą ścieżką: „Hej, ty tam"... odnosiło złośliwie: ...„hej, tytan" ...„ej, tytan"...

●

Nagłym ruchem wstał z miejsca. Poprzez szparę zawiasową drzwiczek nie spuszczał z oka Dulęby. Ten stał, jak poprzednio, z głową pochyloną sobie właściwym gestem. Ksiądz Kutkiewicz pchnął cicho drzwiczki konfesjonału, zaczaił się w sobie, jak łowca, odwrócił się bardzo pomału i poszedł ku ołtarzowi, ku drzwiom zakrystii. Wszedł w nie z uczuciem ciężkiej ulgi, potem w sień, prawie niewidoczną w ciemności, skąd prowadziły w górę, ku piętru, równie niewidoczne teraz schody.

Uciekł.

Ciemność szumiała deszczem, jakieś okno nad schodami, widać nieszczelne, stukało bezustannie.

Drżącą ręką zapalił światło w swoim pokoju na gorze. Nie śmiał spojrzeć na Pięcioprzymiotnikową. Stało się, stchórzył. Uciekł z konfesjonału. Uciekł przed wyznaniem człowieka, którego nie chciał znać zbrodniarzem, czy przed wizją swoich stron, zakątka ludzkiego, ziemskiego szczęścia, którego się zaparł?

Rozmyślał. Dopalał drugiego papierosa, kiedy usłyszał w dole powolne kroki, zmieszane z odgłosami rosnącej słoty. Ktoś szedł po schodach w górę. Fala krwi przypłynęła mu do serca, znieruchomiał, nadsłuchiwał. Drewniane skrzypienie stopni przybliżało się, zatrzymało na półpiętrze, potem podnosiło się znowu. Kutkiewicz czuł całym sobą, że za chwilę usłyszy pukanie. Wiedział też, kto to będzie. Machinalnie zbliżył się do biurka, zniżył lampę, czekał. Gdy rozległo się pukanie, prawie machinalnie odpowiedział: „proszę".

Na progu stał Dulęba. Nie zamknął drzwi, w których stanął, ogromny, jasnowłosy, odziany w zniszczoną skórzaną kurtkę, niezapiętą, pod którą coś niósł zawiniętego w gazetę.

— A, to wy... Dulęba... Proszę.

— Ksiądz kanonik mnie poznali od razu — powiedział Dulęba, jakby zaskoczony nagłym sukcesem.

Przywitali się.

— Oczywiście. Jakżeby inaczej. Proszę, siadajcie.

Dulęba wszedł, zamknął delikatnie drzwi.

— Taki deszcz, myślałem, że prędzej zastanę księdza kanonika w domu...

— Jak to dziś? Byliście u mnie już kiedyś?

Była to wiadomość nieprzyjemna.

— Byłem, raz. Alem nie zastał.

— Dużo roboty, wiecie, wychodzę często... Proszę, słucham was.

Spieszył się do usłyszenia sedna rzeczy, które przeczuwał. Ale Dulęba nie kwapił się do wyjaśnienia celu wizyty. Po chłopsku, pomału, szedł przez dalekie ogrodki. Opowiadał, że znalazł pracę na innej farmie, w departamencie Seine et Oise, patron mieszkał stale w Afryce i on, Dulęba, zarządzał gospodarstwem rzecznym. Teraz patron przyjechał do Francji na miesiąc i wziął go z sobą do Paryża, po zakup sprzętu rybackiego. Majątek był bogaty, piękny, patron łożył wiele na inwestycje...

Kutkiewicz obserwował gościa spod oka. Zauważył, że Dulęba się postarzał. Jasne promyki włosów unosiły mu się ze skroni, błyszczące od deszczu i od poczynającej się siwizny, na czole pogłębiły się poprzeczne bruzdy, twarz wychudła, wyrzeźbiła się jeszcze bardziej. Głos został niezmieniony i sposób mówienia nieskory, jakby hamowany, ten sam, co dawniej. Kutkiewicz zapomniał go nieco i teraz, odkrywając go znów w sobie, czuł ten głos jakby podwójnie bliski. Słyszał go każdym nerwem.

Słuchał i w czasie, gdy tamten mówił, pomału, pomału stawało się dla księdza Kutkiewicza jasne, że oto wszystko, czym żył ostatnio, przepadło w jakiś niewytłumaczony na rozum, ale pewny sposób. Przepadało jego własne uniesienie radości, które tak kłopotało go wielce, pojął je nagle, wreszcie pojął je jako tarpejską skałę, wzniesioną w nim samym, aby z niej runąć. Rozległo się w nim gorzkie „aha" jak górskie echo, dotkliwe zrozumienie, ironiczna, jakby przedśmiertna kpina z samego siebie. Jakże był śmieszny w swojej pasji wzgórz wiekuistych, w swojej ewangelii za trzy grosze, którą, zdawało mu się, że potrafi pociągnąć innych! Przepadały nauki rekolekcyjne o szczęściu, o pożądaniu Tamtych Wzgórz. Wszystko zapadało się w arcyludzkość, której korzenie wybuchły nagle z ziemi jak płomień, z ziemi rodzonej, pozostawionej tam, między wzgórzami Cergowej, Liwoczu i Goleszu. Korzeni tych nie wyrwać, nie spalić, wzgórz tych nie zalać różowością zaziemskich obietnic, nie przygnieść gwiaździstym firmamentem. Nie wrócić ułowionym w sieć rybom, w nurt Urwy.

●

Dulęba przestał mówić, zrobiła się luka ciszy.

— Co mówicie? — poderwał ją ksiądz.

Tamten zdawał się nie spostrzec jego roztargnienia.

— ...Gdyby tak ksiądz kanonik mieli ze dwa, trzy dni... — konkludował pomału rzecz, widocznie poprzednio zaczętą — koleją dwie godziny... Ja bym wszystko wyrychtował wprzód, zawczasu. Może by tak na Wielkanoc? — dodał nieśmiało — ksiądz kanonik nie pożałowaliby...

Kutkiewicz stał jak słup soli. Nie mógł zrozumieć rzeczy zbyt prostej.

— Co, zapraszacie mnie — wyjąkał wreszcie — mnie zapraszacie na... na...

Tak, to właśnie było to. Dulęba zapraszał go na rybacką wycieczkę. Na pstrągi. Po to tu przyszedł.

— Zapraszacie mnie na Wielkanoc, Dulęba?... Zwariowaliście?...

— Gdyby innym razem dogadzało lepiej księdzu, niech będzie. Mnie zawdy doma najdzie — uśmiechnął się. — Bylem wiedział przed czasem...

— „Doma najdzie, doma najdzie" — przedrzeźniał go w sobie Kutkiewicz ze złośliwością i lękiem przed wzruszeniem, które go siekło jak deszcz szyby.

— Ale czy wy nie rozumiecie, że ja tutaj cały czas... że ja mam tu robotę!... Ja nie jestem wolny jak wy... w mieście, to co innego... Co innego.

Dulęba odwijał powoli przedmiot zawinięty w gazetę.

— Et, tam... dwa dni... Każdemu się kiedyś znajdą. Chyba... — urwał, podniósł powoli jasne jak woda oczy wprost w oczy Kutkiewicza i wtedy dokończył — chyba, że ksiądz może nie chcą...

Kutkiewicz zrozumiał, co Dulęba miał na myśli. Zrozumiał nagle pretekst ryb. Jeżeli odmówi, Dulęba weźmie to za prywatny wyrok, jego, Kutkiewicza wyrok na siebie. Chłop podejrzewał z kolei jego szczerość, wystawiał ją na próbę. Jakże go przejrzał na wskroś, jak dobrze znał! Jak chytrze podszedł! Przeleciało mu też przez głowę, że tamten chce mu może więcej powiedzieć, ale nie w mieście.. U siebie, w łodzi, na wodzie... I on znał Dulębę.

Tarł gorące ręce.

— Nie nie chcę, tylko nie mogę — żachnął się. — Co wy wyobrażacie sobie, Dulęba? Że ja mam czas na takie rzeczy... To było kiedyś... Wtedy wszystko było inaczej. Dzisiaj...

Zachichotała w nim znów zła ironia. I nagle, chyba bezwiednie, zrobił rzecz niesłychaną. Położył przed Dulębą, rozpostarł na stole wycinek z pisma, ową reprodukcję mapy szczęśliwości z dzieła o Rajmondzie Luliuszu. Coś przewalało się w nim jak płacz ze śmiechem.

— Widzicie, to jest mapa polowań i rybołóstwa — roześmiał się głośno, białe zęby błysnęły znienacka w cieniu nad lampą — to jest mapa... Wiecie, wyciąłem ją sobie, żeby wiedzieć...

Ale Dulęba nie okazał żadnego zdziwienia. Nic mu nie mówiły łacińskie nazwy. Przypatrywał się spokojnie kolorowej rycinie i zapewne wziął ją za ozdobny, turystyczny afisz, jakie często widywał na stacjach kolejowych, reklamujący jakąś miejscowość wycieczkową albo podróże do cudzoziemskich krajów.

— Widzicie, tutaj...

Przestał się śmiać, zabrał mapę, ogarnęły go nagły smutek i pokora, żałobna teraz, cierpiąca. Ujął wieczne pióro i przy jednym, bezimiennym strumieniu, spływającym w okolice „Mons Doloris", umieścił drobnymi literami nazwę rzeki: Patrissima.

Dulęba rozpakował swoją paczkę i położył na stole w rozwartych papierach olbrzymiego pstrąga.

— To na święta...

Z dumą myśliwca, w milczeniu oczekiwał pochwały.

Kutkiewicz, by go nie urazić, chwalił. Kiwał głową z udanym podziwem i wewnętrzną obojętnością, która go zaskoczyła. Martwe oczy ryby, białe i okrągłe patrzyły w nicość. Coś szarpnęło się w nim, przypływ nagłego buntu, nieświadomy odrzut. Coś oplątywało go złego, coś niejasnego działo się poza wszystkim, czego nie mógł połapać a co czuł jak zaziemską, prawdopodobnie diabelską intrygę. Spojrzał raz jeszcze na rybę, leżała na stole wyzywająco martwa. Przyjął to wyzwanie. Przyjął zaproszenie Dulęby, nie precyzując terminu. Zapragnął zmierzyć się z przeszłością, ze zmartwychwstałą tęsknotą, z sobą samym, z Janem Dulębą. Pojedzie do niego. Jeżeli połów się uda, jeżeli mu się powiedzie, uzna to za znak. Udadzą mu się kazania o szczęściu. Nie tego roku. Może na rok przyszły...

Czuł dokładnie i wyraźnie zabobon. A więc zabrnął aż tak daleko! On, „gwałtownik niebieski", oddawał się przypadkowi, ślepej grze i wyrokowi hazardu. Jeżeli mu się powiedzie...

— Jeżeli zostawicie mi wasz adres, zawiadomię was, kiedy przyjadę.

Zawiadomił też spojrzeniem Madonnę Pięcioprzymiotnikową o swojej decyzji. Nie prosił o przebaczenie. Nie modlił się. Kiedy gość wyszedł, spiął biurowym spinaczem wizerunek wzgórz wiekuistych i kartkę z adresem Jana Dulęby i położył pod osobny przycisk. Dopiero wtedy przemógł się, spojrzał na statuę po raz drugi i trzeci, jakby sprawdzając, że nie zmieniła się, że jest tam, gdzie zawsze, ze swoją tajemnicą uśmiechu i mądrością spuszczonych powiek.

— No, cóż — zaczął się wreszcie modlić, porządkując bez potrzeby papiery na biurku — no cóż, jeżeli to jest zabobon z mojej strony, jeżeli nie chcesz, żebym pojechał, to dasz mi przecież znać... Cóż mogę innego powiedzieć?... Nie umówiłem się definitywnie, mam czas. Dulęba może mnie istotnie potrzebuje... Zresztą nie muszę z nim łowić ryb, możemy rozmawiać bez tego... Przecież to i tak nie jest tam... Matko miłosierna, przecież to i tak nie jest tam...

Nie jest tam. Zdawało mu się, że echo z Cergowej Góry znowu się śmieje. Znowu je usłyszał. W dole, tam, w dole, poniżej skalnej ścieżki, widział znowu jak rozbijały się o brzeg pieniące się, zielonawe, złe i wiecznie ujarzmiane na nowo fale dzikiej Urwy.

Janina Węgrzyńska-Kościałkowska

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE

Wejdź tu, pielgrzymie, gdzie w oknach tęczowych
Stoi ojczyzna, a pod białą ścianą,
Jakby pod brzozą szeroko rozwianą,
Przystanął świątek z rozdroży wioskowych.
Niebo się naścież otwiera nad głową
I święci polscy pochylają twarze
I aniołowie polscy przez witraże
Płyną nad ziemią od krwi purpurową.

Święci spod strzechy, z dworku lipowego —
Kołodziejowie promienni Norwida
I aniołowie srebrni Słowackiego
Z piorunowymi chmurami u skrzydeł;
Tęcze jak blaski krzywych karabeli,
Wstęgi promieni niby pasy lite,
Orły, Pogonie Rzeczypospolitej,
I u nóg końskich dymy pogorzelisk;
Wieki zdyszane, zszarpane sztandary,
Ziemia płonąca pod najazdem pogan,
A nad wiekami — krzyż żywego Boga
I wciąż broniony jasny sztandar wiary.

A potem modre szkło się przeobraża
W płynącą wodę i na falach szyby
Najświętsza Panna jawi się, jak gdyby
Ze stwoszowego wyjęta ołtarza.
A groźna czerwień pożóg i obłoków
I cały zamęt piór i łun i glorii
Chyli się przed Tą, co burze historii
Cudem przemienia w zwycięstwo i pokój.

Z zimnej obcości na tułaczych szlakach,
Z pyłu wędrówek, co duszę zabrukał,
Wejdź tu, Polaku, jeśli domu szukasz
I miejsca, gdziebyś bezpiecznie zapłakał.
Zadrżą witraże jak żagle olbrzymie,
Kiedy je fala odpływu obryźnie,
A ty pod nimi, strudzony pielgrzymie,
Spoczniesz w modlitwie, jak gdyby w ojczyźnie.
Bo jest ten kościół jako łódź Piotrowa,
Która rozbitków zbiera w nawałnicę
I — od błyskawic biało-purpurowa —
U polskich brzegów zarzuca kotwicę.

Zofia Bohdanowiczowa

DOROTA SAYERS

NOWA KOSMOLOGIA

OD TŁUMACZA:

Czytelnikowi polskiemu, który by — co jest zresztą mało prawdopodobne — tu po raz pierwszy spotkał się z nazwiskiem pani Sayers, można ją zwięźle przedstawić, przytaczając następującą notatkę, jaka się swego czasu ukazała w krakowskim „Tygodniku Powszechnym":

„Dorothy L. Sayers, pisarka angielska, bardzo wszechstronna: autorka licznych doskonałych powieści detektywistycznych, essayów krytyczno-literackich oraz naukowych rozpraw teologicznych. Należy do Anglo-Catholics, odłamu wyznania anglikańskiego zbliżonego do katolicyzmu..."

Powieści kryminalne i rozprawy teologiczne! — osobliwe połączenie, nie tak jednak dziwne, jakby się mogło wydawać. Pasja religijna Dostojewskiego podniosła jego „romanse kryminalne" do rzędu arcydzieł. Jedną z najbardziej — jeśli można tak powiedzieć — katolickich postaci w całej literaturze jest czarujący ksiądz Brown z nowel detektywistycznych Chestertona. Nie każdy może pamięta, że Bernanos „popełnił" też kiedyś powieść kryminalną...

„Nowa kosmologia", poruszająca zagadnienie: wiara a wiedza ścisła, któremu ŻYCIE ostatnio poświęciło sporo miejsca — to pogadanka radiowa wygłoszona kiedyś w BBC.

●

Pewna młoda kobieta przyjęła posadę służącej u żony biskupa*). Poczuwając się poniekąd do odpowiedzialności za rozwój duchowy swej pracownicy, pani podsunęła jej myśl uczęszczania na kurs doktryny chrześcijańskiej. Służąca poszła na lekcję i wróciła pełna zapału: „Ach, proszę pani, nasz pastor powiedział nam wszystko co trzeba o Duchu Świętym. Tak się cieszę, że wiem teraz, co to znaczy t h e H o l y S p i r i t. Zawsze myślałam, że to coś do maszynki spirytusowej..."

Dzięki małżonce biskupa, mej miłej znajomej, owa młoda kobieta pozbyła się szczęśliwie przekonania, że chrześcijanie wielbią Trójcę złożoną z Ojca, Syna i spirytusu denaturowanego. Gdy przedstawiciele nowoczesnej wiedzy ścisłej zabierają się do zagadnień religii, żałuję nieraz, że żadna poczciwa dusza nie pomyślała o posłaniu ich do szkółki niedzielnej. Mam bowiem wrażenie, że po prostu nie rozumieją oni znaczenia słów używanych przez chrześcijan.

Oto na przykład p. Fred Hoyle **). Uważa on nieśmiertelność za „coś okropnego", bo sam nie miałby ochoty żyć dłużej niż jakieś trzysta lat. Żali się przy tym, że chrześcijanie „tak mało mają do powiedzenia na temat sposobu, w jaki zamierzają spędzić tę swoją wieczność."

Naprawdę chrześcijanie powiedzieli sporo o naturze życia wiecznego, w szczególności — że nie polega ono (jak myśli p. Boyle) na przedłużeniu w nieskończoność tego rodzaju czasu, jaki my tu znamy. Podkreślają oni, że choć często musimy **wyobrażać sobie** wieczność w kategoriach czasu, czas i wieczność są w rzeczywistości niewspółmierne.

Posłużmy się analogią. „Hamlet", mówimy, „jest nieśmiertelną postacią". Nie chcemy przez to powiedzieć, ani że jego życie **w tragedii** trwa bez końca, ani, że Szekspir napisał o nim niekończący się szereg sztuk. Mamy na myśli to, że Hamlet posiada jakąś żywotność, która przejawia się w **naszym** czasie, a nie w czasie stworzonym, scenicznym. To życie Hamleta w ramach naszego czasu nie ma ani dat, ani określonej długości. Jak długo żyje on w naszym życiu? Przez trzy godziny przedstawienia w teatrze? Przez czas potrzebny Szekspirowi na wyobrażenie sobie i stworzenie tej postaci? Przez trzysta z górą lat jej wpływów w literaturze? Przez wszystkie te okresy i przez każdy z osobna. A właściwie przez żaden z nich. My widzimy Hamleta — jak on sam nie mógłby siebie nigdy zobaczyć — jako kreację skończoną, z zakończeniem zawartym w początku, z każdą chwilą jego życia istniejącą dla nas równocześnie.

Pragnęłabym teraz, aby Czytelnik zrobił mały wysiłek wyobraźni. Proszę sobie wyobrazić, że piszę powieść, której postacie są prawdziwymi istotami — w tym znaczeniu, że posiadają one do pewnego stopnia wolną wolę i świadomość tak swego istnienia, jak i dotyczącej ich akcji... Już — ? Doskonale! Zobaczymy za chwilę, że z czasem zaczną się dziać dziwne i śmieszne rzeczy. Dwa systemy chronologiczne wchodzą teraz w grę: mój czas (który będziemy też nazywać „prawdziwym", rzeczywistym czasem) i — czas „stworzony", powieściowy. Postaci powieści zdają sobie sprawę jedynie z czasu powieściowego. Ja i Czytelnik — jako uprzywilejowany widz — mamy świadomość obu.

Te dwa czasy biegną niezależnie od siebie. Trzydzieści lat czasu powieściowego może minąć pod moim piórem w ciągu jednej chwili, nie przysparzając mej głowie ani jednego siwego włosa. Albo na odwrót, mogę poświęcić całe miesiące swojego czasu na opis jednego dnia z życia mych postaci. Mogę nawet odłożyć pisanie na długi okres swojego czasu i wrócić potem do powieści w tym samym miejscu, w którym ją przerwałam. Nie będą temu odpowiadać żadne luki i nierównomierności w życiu postaci powieściowych, których własny czas przedstawiać się im będzie jako ciągły tok dwudziestoczterogodzinnych dni równomiernie następujących po sobie. Mogę rozpocząć opowieść „od środka", a przeszłe wydarzenia przedstawić w szeregu dygresyj — postacie powieściowe nie będą nawet podejrzewały, że w akcie twórczym stawiam je jak gdyby na głowie. Dla nich przeszłość będzie przeszłością, a przyszłość — przyszłością, bez względu na kolejność ich pojawiania się w moim „prawdziwym" czasie. Co więcej. Dla nas powieść ma początek i koniec — zaczyna się, powiedzmy, gdy bohater ma lat czterdzieści a kończy się małżeństwem jego wnuka. Bohaterowi jednak będzie się zdawało, że się normalnie urodził i przeżył wszystkie nie opisane lata. Bo wyposażyłam go, jak i wszystkie inne towarzyszące mu postacie, w odpowiednio stworzoną pamięć, dzięki której może się do woli cofać myślą aż do nieokreślonego punktu w przyszłości i wybiegać w równie rozciągliwą przyszłość. Będzie on miał przeżycie czasu przedłużonego w nieskończoność, owego koszmaru, który straszy pana Hoyle. My będziemy jednak wiedzieli, że w wypadku postaci powieściowych ta „zła nieskończoność" jest złudzeniem. Ich czas jest w ręku ich twórcy.

Zauważmy, że oprócz podwójnej chronologii mamy tu do czynienia z podwójną przyczynowością. Oto np. jeden z bohaterów powieści stoi na Piccadilly Circus dnia 12 lipca o godzinie 3 po południu. Dlaczego właśnie tutaj? Może nam to wyjaśnić. Powiada, że ma się spotkać z przyjacielem u wyjścia kolejki podziemnej. Skąd się tu wziął? I to może nam wyjaśnić: — Przyjechał tu taksówką z Liverpool Street. Dlaczego z Liverpool Street? Bo tam wysiadł z pociągu jadącego z Chelmsford. Odwiedził mieszkającą tam ciotkę, bo... i tak dalej, i tak dalej bez końca. To wszystko prawda. Dałam mu te motywy i środki. Dla niego puściłam w ruch pociąg i taksówkę. Stworzyłam jego ciotkę z przyległościami i brałam udział w rozmowie, w której umawiał się na spotkanie. Z jego punktu widzenia, w łańcuchu przyczyn i skutków nie brak ani jednego ogniwa. Znalazł się na Piccadilly Circus z powodu swego przyjaciela i ponieważ chciał się tu znaleźć. Przybył tu tą a nie inną drogą z powodu swej ciotki, która tego chciała. Nie wie on jednak i nic w jego świadomości nie może mu tego powiedzieć, że znalazł on się tu, p o n i e w a ż ja chciałam, aby był świadkiem mordu, który ma być dokonany w tym właśnie czasie i miejscu, p o n i e w a ż do tego prowadzi inny stworzony przeze mnie łańcuch przyczyn i skutków, równie logiczny i wystarczająco tłumaczący bieg zdarzeń. (Proszę zwrócić uwagę, że te dwa ostatnie „ponieważ" należą do dwu zupełnie innych układów odniesienia.)

Wyobraźmy sobie teraz pewien spór między dwiema takimi powieściowymi postaciami. Pierwsza jest czymś w rodzaju detektywa. Mówi on: „Zbadałem wydarzenia naszej opowieści i odsłoniłem mechanizm jej akcji. Biegnie ona całkiem logicznie i konsekwentnie, nie ma w niej luk, rwących się wątków, sprzeczności... Nie widzę tu niczego sprzecznego z naturą, nie znajduję niczego, co by mi kazało postulować istnienie jakiegoś autora. Zgodnie z całym istotnym materiałem dowodowym mamy tu do czynienia z układem zamkniętym." Ta postać — to uczony. M y wiemy, dlaczego wynik jego badań przybiera taką właśnie formę. Uważa on badany układ za „zamknięty" i nie wymagający wyjaśnień, bo autor go „zamknął" i zaopatrzył we wszelkie potrzebne wyjaśnienia. Ale jedynym prawidłowym wnioskiem z tego nie jest: „nie ma autora", ani nawet: „nie istnieje jakiś autor", lecz: „j e ś l i autor istnieje, to zna się on na rzeczy".

Druga postać powiada: „Wszystko to bardzo pięknie, ale to nie tłumaczy, skąd się w ogóle wzięła ta cała historia. Pewne wskazówki — np. styl — nie dające się zmierzyć pańskimi przyrządami, nasuwają mi myśl, że mamy tu do czynienia z dziełem sztuki. Jeśli tak jest, ma ono autora, gdyż sztuka nie powstaje przypadkowo. Ani też my sami nie tworzymy tego dzieła żyjąc w nim, bo w takim razie nie byłoby nikogo, kto by je przeżywał jako całość, nie można by więc mówić o „sztuce". Dalej, ponieważ styl wyraża osobowość twórczą, możemy się na tej podstawie czegoś dowiedzieć o autorze. Możemy być także pewni, że my, jego postacie, nie jesteśmy mu obojętni. Nie stworzył nas dla igraszki, nie chodzi mu o to, byśmy się dobrze ze sobą bawili, lecz pragnie dzielić z nami — nieśmiertelność. Jest to wartość zrozumiała tylko w ramach jego czasu, nie naszego. A droga do jej osiągnięcia jest jasna: dać się kierować jego twórczej dłoni i pragnąć całym sercem stać się takimi, jakimi on nas chce uczynić." Ta postać, to teolog. (Jako postać istniejąca w dziele sztuki, jest on oczywiście teologiem-estetykiem. W świecie rządzonym przez wartości moralne musiałby być teologiem-moralistą).

Uczony oponuje: „Ta teoria była dobra, dopókiśmy myśleli, że jesteśmy bohaterami krótkiego opowiadania. Badania moje jednak prowadzą do wniosku, że to jest długa i niezmiernie skomplikowana opowieść, w której my jesteśmy tylko epizodycznymi postaciami. Pańska religia jest niczym innym jak poszukiwaniem na ślepo wyjścia z prawdziwie okropnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy — my, postacie powieści, która nie ma dla nas sensu, a dla nikogo wartości."

Teolog odpowiada: „Nie bardzo pana rozumiem. Czy chce pan przez to powiedzieć, że tylko krótkie i proste opowiadania mają autorów, a długie i skomplikowane dzieła piszą się same? Czy też — że autora nie obchodzą postacie epizodyczne? Tak pan chyba nie myśli. A skoro zarzuca mi pan eskapizm, mógłbym się odwzajemnić zarzucając panu chorobliwy pociąg do straszenia siebie samego. Bo moja wiara w głębokie znaczenie naszej powieści zgadza się równie dobrze ze znanymi nam faktami, jak pańska teoria o jej bezsensowności."

„Teraz naturalnie jest pan zły na mnie — rzecze uczony — że zburzyłem pańskie błogie poczucie bezpieczeństwa."

Na to teolog: „Jakie tam znowu bezpieczeństwo? Jeśli nasz świat jest dziełem sztuki, w takim razie pan i ja i wszystko, co w nim jest, podlega ocenie, sądowi, a alternatywą nieśmiertelności jest ogień wieczny, w który się rzuca śmiecie i poronione twory. I to pan nazywa „braniem przyjemnych marzeń za rzeczywistość"? Czy uważa mnie pan za tak zadufanego w swe zasługi, że odważałbym się z własnej woli wyzywać sąd nad sobą?"

I tak spór toczy się dalej. My możemy powiedzieć, że w tym szczególnym wypadku teolog ma rację. Książki mają autorów. Ale postaciom powieściowym nic nie może dać tej pewności — chyba objawienie. To znaczy — chyba gdyby autor sprawił, że w jakimś punkcie czas prawdziwy zbiegłby się z czasem powieściowym.

Otóż my chrześcijanie wierzymy, że n a s z Autor to właśnie zrobił. Przyjął rolę postaci w swej własnej powieści. Wkroczył w czas stworzony i poddał się wszystkim ograniczeniom, jakim podlegają postacie powieściowe, żył z nimi na równych prawach, mówił im o Autorze i przez swe życie, śmierć i zmartwychwstanie objawił im ideę i cel powieści. Znamy dotyczące Go daty (Chystus jest jedynym Bogiem, który ma swoje daty w czasie stworzonym) — mieszczą się one w okresie około trzydziestotrzyletnim, za panowania Augusta i Tyberiusza. W dziejach naszej planety (jak dotąd, nie wiemy nic o innych) jest to jedyny punkt, w którym czas i wieczność spotykają się w jednym stworzonym umyśle.

Jeśli to prawda, to jest to niewątpliwie wydarzenie najwyższej doniosłości, ponieważ ono i jedynie ono jest miarodajne. Jest to, jak mówimy, „dobra nowina" spoza powieści. Jest to jednak także wydarzenie w o b r ę b i e powieści — w r a m a c h „zamkniętego układu", którym zajmują się uczeni. Ignorując je, opuszczają w swych obliczeniach czynnik o namacalnej istotności. Wydarzenie to dla nich kłopotliwe, bo z natury swej niepowtarzalne, nie dające się określić żadnym prawem statystycznym. Wysuwano nawet myśl, że może ono być tym właśnie punktem, w którym się cała historia zaczyna i że dokoła niego Autor równocześnie tworzy naszą przeszłość i przyszłość. W świetle naszej analogii byłoby to zupełnie możliwe, choć nie moglibyśmy tego dowieść.

Analogia jest oczywiście tylko analogią. Nie twierdzę bynajmniej, że Bóg jest po prostu Kolosalnym Powieściopisarzem. Twierdzę jednak, że dla wielu „niejasnych" na pozór doktryn teologicznych, jak np. dla twierdzenia o paradoksalnych stosunkach między czasem a wiecznością, można znaleźć paralele, z którymi jesteśmy otrzaskani w codziennym życiu — jeśli tylko zadamy sobie trud zrozumienia tych doktryn. Myślę także, że uczeni powinni się wystrzegać dziecinnej łatwowierności wobec tzw. danych. Może to są w dosłownym znaczeniu „dane" — wskazówki czy tropy podsunięte uczonemu w taki sposób, by mu się zdawało, że je sam odkrywa. Przestrzegłszy już uczonych przed pochopnym twierdzeniem, że „układ zamknięty" musi wykluczać istnienie Boga, pragnęłabym jeszcze usilniej przestrzec teologów przed pomyłką, którą tylu z nich popełniło w XIX wieku, pomyłką polegającą na wpychaniu przemocą Boga przez pozorne szpary w porządku naturalnym. Bóg może właśnie tę chwilę obrać, by daną szparę zatrzasnąć im przed nosem. To prawda, że Jego jedyne w swym rodzaju objawienie się jako części tego porządku pociągnęło za sobą jedyne w swoim rodzaju następstwa; gdy się jednak nad tym zastanowić, jest to zupełnie naturalne.

Dorothy Sayers
Przełożył **Michał Sambor**

*) anglikańskiego (przyp. tłum.)

**) młody uczony brytyjski (ur. 1915), wykładowca matematyki w Cambridge, napisał m.in. „The Nature of the Universe". (Przyp. tłumacza).

UCHODŹCY POLSCY NA WĘGRZECH
W POWIEŚCI ANGIELSKIEJ

Ann Bridge jest pseudonimem żony wybitnego dyplomaty brytyjskiego, obecnie emerytowanego, który podczas swej długiej kariery przebywał na różnych placówkach zagranicznych, z grubsza na linii od Pekinu po Lizbonę. Żona mu towarzyszyła i uczestniczyła nie tylko w przyjęciach oficjalnych, w dyplomatycznych „cocktail - parties", ale chłonęła w siebie wrażenia, refleksje i obserwacje z tych obcych terenów i środowisk ludzkich, wśród których przyszło jej przebywać. Jakże łatwo jest zasklepić się żonie sekretarza czy radcy legacyjnego, a tym bardziej posła czy ambasadora w tym swoistym getcie dyplomatycznym! Cała twórczość pisarska Anny Bridge świadczy wymownie i przekonywująco, że nie uległa ona tej pokusie.

Ponad dziesięć pozycji książkowych (w tym większość powieści) dokumentuje nie tylko talent pisarski autorki, ale i jej wysokiej miary intuicję psychologiczną, jej zdolność obserwacyjną, jej wrażliwość estetyczną i jej rozumne, a przy tym szlachetne zasady życiowe. Zaznaczmy „en passant", że Ann Bridge jest katoliczką. Książki jej wykazują rzadką stosunkowo u Anglików zdolność wczuwania się w obce środowisko, ujmowania jego swoistej atmosfery, odkrywania praw psychologicznych, rządzących nim. Ann Bridge przenosi czytelnika na teren obcy, nieraz egzotyczny (jak Chiny). Zetknięcie się Angielki czy Amerykanki (bo kobiety są prawie wyłącznie bohaterkami jej powieści) z tym obcym środowiskiem wywołuje często mniej czy bardziej poważne powikłania i konflikty duchowe czy uczuciowe. Bohaterka zwykle odzyskuje swą równowagę duchową, nie bez pewnego kosztu, ale w rezultacie przeważnie z korzyścią dla siebie.

Ann Bridge jest pisarką popularną, mającą pokaźne grono czytelników i czytelniczek wiernych sobie, o czym łatwo przekonać się w wypożyczalniach publicznych. Zapewne, nie zalicza się do awangardy czy do elity pisarzy współczesnych, wątpić też można, czy jej nazwisko wejdzie do podręczników historii literatury angielskiej. Niemniej jej działalność pisarska ma cechy ujmujące szczerością, rzetelnością roboty i prawdziwie kobiecym wdziękiem. Jej postacie, chociaż czasem nakreślone trochę szkicowo i niedostacznie plastycznie, jednak nie są marionetkami, żyją, budzą zainteresowanie, chwilami szczerze wzruszają. Często odnosi się jednak wrażenie, że autorkę więcej interesuje tło akcji powieściowej czy pewne problemy z nim związane, niż sama akcja lub dzieje jej bohaterki, traktowane czasem dość konwencjonalnie i według pewnej powtarzającej się w różnych wariantach recepty.

Temu podejrzeniu nie można się oprzeć przy czytaniu ostatniej, zresztą doskonałej pod każdym względem powieści Anny Bridge pt. „A Place to Stand".*)

Kreśli ona wycinek z życia albo raczej wielką przygodę życiową młodej Amerykanki, Hope Kirkland, przebywającej w początkach roku 1941 wraz z swymi rodzicami w Budapeszcie. Ojciec jej jest bogatym szefem oddziału jakiegoś wielkiego amerykańskiego trustu naftowego. Hope zaręczona jest z pewnym dziennikarzem amerykańskim, którego obowiązki zmuszają do częstego przenoszenia się z jednej stolicy naddunajsko-bałkańskiej do drugiej. Spotyka ona pewnego razu narzeczonego w Belgradzie, gdzie na pożegnanie otrzymuje od niego pudełko czekoladek. Na dnie pudełka panna Hope znajduje ku swemu zdumieniu dwa stare paszporty jugosłowiańskie i kartkę z adresem jakiegoś pensjonatu w Budapeszcie z prośbą o doręczenie tych paszportów „Stefanowi".

Młoda Amerykanka misję swoją spełniła. Odnajduje skromniutki pensjonat na jakimś wysokim piętrze kamienicy budapeszteńskiej. Poznaje rodzinę wygnańców polskich — Morańskich — matkę syna Stefana, córkę Lidkę i tej ostatniej narzeczonego, a równocześnie kuzyna — Jurka Hempla. To pierwsze spotkanie jest tylko wstępem do wielu innych. Sprawa paszportów bowiem nie rozwiązuje problemu młodych Polaków, pragnących udać się na Zachód, by tam służyć ojczyźnie w sposób skuteczniejszy. Potrzebne są wizy, zaświadczenia lekarskie o niezdolności do służby wojskowej, zezwolenia na wyjazd itd.

Panna Hope okazuje się duchem opiekuńczym rodziny. Dzięki niej wszystkie potrzebne dokumenty ostatecznie znajdują się w rękach dwóch Polaków. Wymagało to jednak czasu, w momencie, gdy sytuacja polityczna stopniowo się pogarszała. Stefan i Jurek wmieszani są w niebezpieczną akcję potajemnego wykradania Polaków z różnych obozów internowanych, sieć policji węgierskiej, poprzetykanej gęsto urzędnikami Gestapo, zacieśnia się dokoła nich, wkroczenie niemieckich wojsk pancernych na Węgry w drodze ku Jugosławii staje się sygnałem dla Kirklandów do opuszczenia Budapesztu, a dla Morańskich do przyśpieszenia wyjazdu. Ociągali się oni jednak, w oczekiwaniu na emisariusza z kraju.

Hope Kirkland nie tylko została wciągnięta w atmosferę spiskową Morańskich, ale zwolna zaczęła się poddawać urokowi ich ofiarności, niezłomnego patriotyzmu, ich męstwa w obliczu tak bezprzykładnej klęski narodowej, rodzinnej i osobistej. Stefan Morański, poważny, szlachetny, opanowany, żyjący tylko dla swej idei, budzi w młodej Amerykance gorący odzew uczuciowy. Zawiązuje się węzeł serdecznej przyjaźni, któremu tylko poczucie odpowiedzialności Polaka nie pozwalała się rozwinąć w beznadziejny romans. Ten wątek uczuciowy powieści przeprowadzony jest delikatnie i subtelnie. Miłość dwojga młodych ma posmak gorzki i smutny, ale owiana jest niepodrobioną poezją.

Hope wyjeżdża z rodzicami w kierunku Belgradu. Po drodze jednak jest świadkiem wyłapywania przez Niemców podróżnych polskich z pociągu. Postanawia więc wysiąść na najbliższej stacji węgierskiej i ostrzec swych przyjaciół. Mimo nieprzewidzianych dramatycznych przeszkód zamiar ten wykonuje. W Budapeszcie trafia do mieszkania Polaków w momencie, gdy pani Morańska po długim i męczącym przesłuchaniu policji załamuje się fizycznie. Pannie Hope udaje się sprowadzić do niej księdza Polaka, który jest dawno oczekiwanym emisariuszem z Polski. Dysponuje on na śmierć panią Morańską, a Lidce doręcza dla Stefana mikrofilm z kraju. Dzięki podobieństwu do Hope, Lidce w futrze i kołpaczku i w samochodzie Amerykanki udaje się uniknąć policji, która aresztuje następnie pannę Hope, w przekonaniu, że to Lidka Morańska. Dopiero interwencja konsula amerykańskiego kończy ponury i przerażający epizod więzienny.

Perypetie rodziców w czasie bombardowania Belgradu, wyjazd panny Hope do Stambułu i szereg innych przygód prowadzą do finału książki, z Hope wracającą do normalnego dla niej, niezakłóconego wielkimi przygodami życia. Przestała być jednak nieco pustą, rozpieszczoną jedynaczką, stała się człowiekiem, który otarł się o grozę nieubłaganego przeznaczenia, o głębokie cierpienie, ale i o szlachetność i bohaterstwo ludzkie.

Świat polskich wygnańców przedstawiony został przez autorkę z pełną sympatią, bez cienia szarży czy protekcjonalności. Ten świat polski — cierpiący, walczący, nie tracący wiary i nadziei, niezłomny i dojrzały — jest jak się nam wydaje, głównym bohaterem pięknej książki, która powinna dotrzeć do rąk jak największej ilości czytelników polskich.

M. Ch

*) **A PLACE TO STAND. Chatto & Windus. London 1953. Str. 287.**

KSIĄŻKI, MUZYKA I PIWO

Wśród 23 Amerykanów i 335 południowych Koreańczyków, którzy odmówili repatriacji i zostali, zgodnie z warunkami rozejmu w Korei, przekazani komisji repatriacyjnej, znalazł się jeden marynarz brytyjski. Zapytany przez dziennikarzy ludowych, jakie motywy skłoniły go do pozostania po stronie komunistycznej, złożył on im oświadczenie, które „Trybuna Ludu" zamieszcza w nrze z 26 września br.

„Dlaczego został? — mówi dzielny marynarz. — „Pytanie to nurtować będzie w ciągu najbliższych miesięcy umysły tysięcy ludzi na Wyspach Brytyjskich i w USA. Niektórzy niewątpliwie pośpieszą z udzieleniem odpowiedzi".

Nie chcąc pozostawiać tych tysięcy ludzi w stanie rozterki duchowej i licząc się z możliwością błędnych lub tendencyjnych komentarzy w prasie imperialistycznej, marynarz wyjaśnia otwarcie powody swej decyzji.

„Jestem człowiekiem prostym. Lubię słuchać muzyki, czytać dobre książki, lubię napić się od czasu do czasu piwa. Lubię patrzeć na bawiące się i pełne radości dzieci. Pragnę nie tylko sam korzystać z tych wszystkich przyjemności, ale pragnę, by z nich mogli korzystać również inni.

„Świat, w którym żyłem dawniej, odmawia prawa do tych skromnych przyjemności setkom milionów ludzi; wynikiem naszego zachodniego, kapitalistycznego stylu życia jest błoto i krew, sieroty i wdowy oraz udręczone ludy Korei, Malajów, Wietnamu i innych krajów".

Wynika z tego, że pobudki, którymi się kierował marynarz brytyjski, miały charakter altruistyczny. Można wprawdzie wątpić, czy opowiedzenie się jego po stronie komunistycznej przyniesie ulgę udręczonym ludom Korei, Malajów i Wietnamu, bo musiałby wytłumaczyć swym nowym przyjaciołom, aby zaprzestali niecenia zamętu wśród tych ludów i otwartych aktów agresji, a to byłoby dość trudne; za to pierwsza część oświadczenia jest budująca.

Istotnie, nie wszyscy w Wielkiej Brytanii lubią czytać dobre książki; władze brytyjskie nie zakazują czytania również powieści kryminalnych i thrillerów. Nie wszyscy też lubią słuchać dobrej muzyki; miliony Brytyjczyków gustuje w okropnym jazz'ie, co również władze tolerują. O ile nam jednak wiadomo, agenci imperialistycznej reakcji nie posunęli się jeszcze do tego, aby zabraniać komukolwiek patrzenia na bawiące się dzieci. Co się tyczy piwa, to trzeba przyznać, że brytyjski system kapitalistyczny pozbawia miliony ludzi tej skromnej przyjemności już po godzinie 10 wieczór. Kto wie przy tym, czy piwo koreańskie, chińskie lub po prostu sowieckie, nie jest od angielskiego lepsze.

De gustibus non est disputandum. Autor niniejszej notatki woli thrillery od socrealistycznej literatury sowieckiej.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY
NIEDZIELA, 15 listopada 1953 r.

SPRAWA WSPÓLNEGO WYSIŁKU

NOWE GIMNAZJUM POLSKIE w W. BRYTANII

Przygniatają nas do ziemi dwie ciężkie chmury: złe wiadomości z Kraju i szarość e m i g r a c y j n e g o życia. To są nasi najwięksi przeciwnicy, z którymi trzeba się bezustannie zmagać, nauczywszy się wprzód, jak to robić. Pamiętam z młodości obraz, który — w niezliczonych wersjach i odmianach sycił moje pokolenie w latach, kiedy jeszcze trzeźwa dojrzałość nie wystudziła zapału do romantycznych przenośni: na wzburzonym morzu w ciemną jesienną noc płynie statek zalewany falami. Załoga mocuje się ze zniszczeniem dokonywanym przez fale, na kapitańskim zaś mostku stoi człowiek i, twardo zaparłszy się w chwiejne deski, rzuca wyzwanie chmurnemu niebu.

Nie wszystkie ideały romantycznej młodości są bezużyteczne i niepraktyczne. Na pewno nie ten: walka człowieka z przeciwnością. Im ciemniej i chmurniej, tym twardziej i bezwzględniej przeciwstawiać się trzeba zmowie zła. Gdyby ktoś pytał, czy ta recepta jest stosowana przez polskich emigrantów politycznych XX stulecia — trzeba by odpowiedzieć twierdząco. Stosowana jest. Oczywiście nie przez wszystkich (niektórzy nawet zawzięcie jej unikają), ale stosowana jest szerzej, niż się myśli.

Od dawna marzy mi się napisanie szkicu (wcale nie tak skąpego w objętość), w którym bym mógł wynotować po prostu i bez żadnych zawijasów stylistycznych te bardzo liczne indywidualne przykłady: heroizmu, miłości bliźniego, poświęcenia, zaparcia się siebie, które w ciszy i w niezauważeniu są dokonywane, a o których mimochodem mi opowiadano, albo które sam widziałem. Ale nie tylko jednostkowe dzieła istnieją, dokonują się również wcale wspaniałe różne dzieła zbiorowe.

Właściwie, co krok natrafia się na taką cudowną historię. Są to wszystko historie z reguły typu społecznego: przedszkola, kursy nauczania przedmiotów ojczystych, coraz liczebniejsze stowarzyszenia młodzieży, teatry amatorskie, kluby literackie, świetlice, biblioteki. Co krok — czyjeś stopy mocno wparte w chwiejące się deski emigranckiego okrętu i — twarz zwrócona przeciw burzy i nocy.

W tej chwili zaczynamy mijać nową taką cudowną historię, która dokonuje się na naszych oczach, jeśli te oczy patrzeć tylko zechcą. Jeśli nie będą wolały wlepiać się w cztery ściany emigracyjnego smutku albo w kawiarniany czad plotkarskiego bełkotu.

Lecz ten, kto chce patrzeć, będzie widział istotny cud: p o w s t a j e n o w e p o l s k i e g i m n a z j u m. Powstaje właściwie z niczego. Z pomyślenia głowy, a raczej kilku głów, z pomocy katolickiej organizacji i z zapału wielu gorących serc. Mówię o gimnazjum, jakie w pobliżu pięknego Henley, w budynku i na gruntach historycznego Fawley Court'u, nad brzegiem rzeki Tamizy zakładają OO. Marianie, ci sami, którzy podobne gimnazjum prowadzili na Bielanach pod Warszawą (nawet kierownik, O. Superior Józef Jarzębowski, główny zresztą inicjator szkoły, będzie ten sam).

Za dwa, trzy tygodnie pojawią się w prasie dokładne komunikaty, podające warunki i szczegóły przyjmowania do tego polskiego gimnazjum uczniów. Za miesiąc a najdalej za sześć tygodni mury uczelni zaszumią awanturami i pracowitością pierwszych sześćdziesięciu chłopców. W wielu pismach wydrukowane zostaną liczne opisy, omawiające uczenie i pracowicie szczegóły historyczne tego uroczego budynku, w którym powstały fundamenty i dalekie podziemne korytarze przechodzące przez cały park aż do Tamizy, nazwiska słynnych architektów, którzy budowali obecny kształt pałacu, style różnych sal i piękności biblioteki; jakiś domorosły statystyk zabawi się w zestawienie ilości pokoi, zakamarków długości korytarzy i zieloności trawników i boisk. Wszystko to będzie, ciekawość tedy zostanie w pełni nasycona.

Tu tymczasem chodzi tylko o jedno: o to, aby ten niezwykły fakt powstawania nowej polskiej szkoły nie przeszedł przypadkiem niezauważony przez szerszą społeczność polską. A zauważenie, i to dobre zauważenie, jest ważne z rozlicznych względów.

Po pierwsze: dom jest duży, park jest olbrzymi, ale przecież i dom i park mają swoją pojemność — pomieszczą w pierwszym roku tylko sześćdziesięciu chłopców. Zgłoszeń tymczasem każdego dnia poczta przynosi po kilka. Warto by tedy dość szybko zakrzątnąć się koło wcześniejszego (nawet na razie bez szczegółów) zapewnienia sobie miejsca dla syna, aby znalazł się w polskim gimnazjum. Będzie ono postawione na bardzo wysokim poziomie pedagogicznym i naukowym. W toku są starania o uzyskanie pełnych praw szkół angielskich tego samego typu.

Po drugie: szkoła powstała; jest piękny, obszerny budynek, park, boiska, woda i miejsce na baseny sportowe, początkowe umeblowanie klas. Ale przecież to dopiero początek. Obecny budynek może pomieścić tylko 120 chłopców, a gimnazjum w pełnym swoim biegu powinno ich mieścić 250, czyli, że musi być w parku dobudowane nowe dormitorium. Poza tym również innych potrzeb jest bez liku.

Nasze doświadczenie emigracyjne uczy (choćby na przykładzie szkoły powszechnej w Lower Bullingham — Herefordzie — założonej i prowadzonej przez tychże samych OO. Marianów), że społeczeństwu emigracyjnemu udają się te dzieła, które robione są wspólnie przez całą społeczność, zawodzą zaś te, które prowadzone są sposobem jednostkowym, partyjnym, politycznym, czy zgoła rozkazodawczym.

Nowe gimnazjum polskie w Fawley Court musi być dziełem wszystkich Polaków na emigracji w Wielkiej Brytanii, albo nie będzie go w ogóle, zmarnieje, rozkruszy się i zczeźnie. Dlatego jest rzeczą konieczną, aby od pierwszej chwili ta nowa arka polskiego przymierza między dawnymi a przyszłymi laty była wzięta wspólnie na ramiona przez wszystkich, którzy naprawdę, nie tylko w gromkim frazesie, rozumieją nasz powrót w granice Ojczyzny. Ten prosty sposób troski o gimnazjum zapewnia jeszcze jedną rzecz: trwałość instytucji szkolnej. Co roku drży się o istnienie szkół utrzymywanych przez Komitet Oświaty, czy aby na przyszły rok będą jeszcze pieniądze angielskie. W tym wypadku lęk odpada, bo tylko od nas samych będzie zależało istnienie szkoły. Potrzebne więc jest bezustanne myślenie o gimnazjum i jak najszersza, szybka ofiarność.

Wreszcie, po trzecie: To będzie nie tylko szkoła. To będzie również ośrodek kultury polskiej, może największy tego typu na wyspach brytyjskich. W Fawley Court powstaje muzeum rzeczy polskich, stała wystawa druków polskich, wielka biblioteka. W wspaniałych hallach gmachu odbywać się będą imprezy o charakterze kulturalnym, na które przybywać będzie pewno wszystko co najbardziej spragnione głębszych nurtów polszczyzny z dalszych nawet okolic.

To na razie wszystko o nowej polskiej instytucji: jak najszybciej zgłaszać chłopaków, jak najwięcej przesyłać ofiar, w pieniądzach i w rzeczach, które mogą przydać się do ozdobienia i utrzymania szkoły.

Józef Kisielewski

P. S. Adres gimnazjum brzmi: **Fawley Court, nr. Henley.**



Fawley Court od frontu

INGRES BISKUPA PAWŁOWSKIEGO

W niedzielę 25 października br. odbyła się w katedrze we Włocławku podniosła uroczystość ingresu biskupa Antoniego Pawłowskiego, ordynariusza diecezji włocławskiej. Nowego ordynariusza wprowadził do katedry biskup-sufragan Franciszek Korszyński i przedstawił go wiernym, którzy zgromadzili się w wielkiej liczbie w katedrze i wokół niej. Po wstępnych ceremoniach liturgicznych, na ambonę wszedł biskup Pawłowski i wygłosił głębokie kazanie o znaczeniu wiary w życiu chrześcijanina. W zakończeniu biskup-ordynariusz wezwał wiernych, by głębokie przywiązanie do wiary, wierność Stolicy Apostolskiej i umiłowanie dla Ojca św. jako zastępcy Chrystusa na ziemi, łączyli ze szczerym i dobrze pojętym patriotyzmem, z tysiącletnimi tradycjami katolickiej Polski oraz z duchem obywatelskim, dążącym do społecznego i kulturalnego rozwoju Polski.

◆

Biskup Pawłowski urodził się w roku 1903. Na kapłana był wyświęcony w roku 1926. Przez pewien czas wykładał teologię na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, a następnie był rektorem Seminarium Duchownego w Warszawie i profesorem dogmatyki pozytywnej na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie hitlerowskiej okupacji był aresztowany przez Gestapo i spędził szereg lat w niemieckich obozach koncentracyjnych. W uznaniu zasług dla archidiecezji warszawskiej otrzymał godność kanonika honorowego warszawskiej kapituły metropolitalnej.

W pierwszej połowie roku 1951 ks. prof. Pawłowski zamianowany został przez Papieża następcą zmarłego biskupa Karola Radońskiego i ordynariuszem diecezji włocławskiej. Nie mógł jednak objąć swego urzędu aż do chwili obecnej. Zmianę nastawienia reżymu warszawskiego do biskupa Pawłowskiego charakteryzuje nie tylko fakt dopuszczenia go do objęcia urzędu ordynariusza, ale również ciekawie zredagowany komunikat radia warszawskiego, w którym użyto następującego zdania: „W niedzielę, 25 października, odbyła się we Włocławku, na podstawie nominacji uzyskanej od Stolicy Apostolskiej, uroczystość ingresu nowego biskupa-ordynariusza ks. prof. Antoniego Pawłowskiego". Dotychczas wyrazy „Stolica Apostolska", „Papież" zarezerwowane były głównie dla ataków prasy i radia komunistycznego. Po raz pierwszy komuniści podają wiadomość, że biskup obejmuje rządy diecezją z ramienia Stolicy Apostolskiej.

◆

Djecezja włocławska jest jedną z najstarszych w Polsce. Założona została już w roku 996. W ciągu wieków nazywana była również diecezją kujawską lub diecezją kaliską. Należy do metropolii gnieźnieńskiej. Diecezja liczy obecnie około 440 kapłanów świeckich i zakonników, 346 kościołów oraz ponad milion wiernych. Włocławskie seminarium duchowne postawione jest na wysokim poziomie naukowym i liczy obecnie około 300 kleryków. (IC)

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

POLAK BADAWCĄ MAGNETYZMU ZIEMI

Londyński „Observer" z dnia 1 listopada zamieszcza w rubryce „Profile" obszerny artykuł o dr Bohdanie (przez pomyłkę prawdopodobnie napisano: Bohdon) Cwilongu, który podjął poważne studia nad zagadnieniem magnetyzmu ziemi.

Magnetyzm — stwierdza autor artykułu — jest jednym z najmniej zbadanych działów nowoczesnej wiedzy fizycznej. Jest rzeczą znaną, że materiały magnetyczne stopniowo tracą swe właściwości przy wysokich temperaturach. Mimo to ziemia, która ma rdzeń bardzo gorący, nie traci swego magnetyzmu. Zachodzi pytanie, dlaczego się tak dzieje? Według rozpowszechnionej dziś teorii Edwarda Bullarda pole magnetyczne ziemi utrzymywane jest przez pewne prądy elektryczne, których źródło znajduje się we wnętrzu ziemi.

Chodzi teraz o sprawdzenie tej teorii i zbadanie innych zagadnień z tym związanych. Tego właśnie zadania podjął się dr Cwilong, który postanowił zbadać dokładniej, niż to dotychczas uczyniono, 24.000.000 mil kwadratowych Pacyfiku, Atlantyku i Oceanu Indyjskiego.

Cwilong przed wojną wydał w Polsce trzy książki z zakresu metereologii: jedna z nich stanowiła podstawowy podręcznik w polskiej flocie wojennej. Był doradcą naukowym polskich sił lotniczych, po czym już na emigracji w Anglii, zajmował się badaniami fizycznymi w Clarendon Laboratory w Oksfordzie. Po wojnie wykładał fizykę przez pewien czas na uniwersytecie w Nowej Zelandii, później zaś na uniwersytecie w Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej. W jednej ze stoczni w Vancouver zbudowany został wedle jego wskazówek mały statek „Non-Magnetic III", potrzebny do podróży badawczych i dlatego pozbawiony właściwości magnetycznych, które by badania te bardzo utrudniały.

Ostatnio Cwilong przybył do Anglii, by nabyć większy statek, który by towarzyszył wymienionemu wyżej malemu. Wybór jego padł na statek „Princess Waimai", zbudowany w r. 1909. Wśród kilkuosobowej załogi tego statku znajduje się dwóch Polaków. Figura na przedzie statku wykonana została przez rzeźbiarkę Polkę. Statek żegluje pod flagą Oxford University Yacht Club, którego dr Cwilong jest członkiem.

Pierwszym przeznaczeniem obu statków są tzw. „Doldrums", to jest ta część Atlantyku zachodniego, gdzie spotykają się wiatry północno-wschodnie i południowo-zachodnie.

CÉZANNE DLA GALERII NARODOWEJ

Szereg dzienników brytyjskich podało reprodukcję obrazu Paul Cézanne'a „La Vieille au Chapelet" („Staruszka z różańcem"), który ostatnio nabyty został przez londyńską National Gallery. Jest to pierwszy obraz Cézanne'a, który znalazł się w zbiorach tej galerii.

Cena, jaką zapłacono za obraz, nie została ujawniona. Przypuszcza się, że wyniosła około 30.000 funtów, co stanowi sumę ogromną.

PRZECIW SENSACJOM „SEKSUALNYM"

Brytyjska Rada Prasowa (General Council of the Press) ogłosiła komunikat stwierdzający, iż w wyniku przedstawień, jakie otrzymała od szeregu organizacji religijnych i innych, powzięła następującą rezolucję:

„Że Rada, broniąc praw prasy w świecie współczesnym do traktowania spraw seksualnych w sposób odpowiedzialny, odczuwa głęboką troskę z powodu niezdrowego eksploatowania spraw płci przez niektóre dzienniki i periodyki;

„Że Rada wyraża pogląd, iż takie postępowanie szkodzi moralności publicznej, biorąc zwłaszcza pod uwagę, iż gazety i periodyki widywane są i czytane przez młodzież. Jest ono także przeciwne podstawowym zasadom dziennikarstwa, które Rada zobowiązana jest podtrzymywać. Rada zamierza nadal zwracać uwagę na tę sprawę".

Oświadczenie Rady nie wymienia pism, które otrzymują tę naganę, nietrudno jest jednak się domyśleć, przeciw którym gazetom i czasopismom jest skierowane.

POLSKI PRZEKŁAD „DON CAMILLA"

Książki złe mijają bez echa. Książki dobre budzą namiętności. „Don Camillo" musi być dobrą książką sądząc po jej przyjęciu w wolnym świecie. Miliony ludzi traktuje księdza Kamila, wójta Peppona i wszystkich owych Brusków, Smilzów i Bigiów jak żywe istoty, jak ludzi wpływających na opinię społeczeństw, niczym jacyś szefowie bardzo możnego państwa. Kiedy jesienią roku 1951 ogromna powódź spustoszyła znaczną połać równiny nadpadańskiej, z całego świata posypały się ofiary dla powodzian, a zawołaniem tej akcji było hasło: „Dla ludzi Don Camilla i Peppona". Dzien-



Fernandel jako don Camillo

nikarze nie ustają w pogoni za prototypem krewkiego kapłana, odkrywając raz po raz kogoś, kto jest prawie taki sam, ale jednak zawsze brak mu czegoś do ideału Jana Guareschiego. Czytelnicy są głęboko przekonani, że „Mały świat don Camilla" istnieje w rzeczywistości, gdzieś między Padem a Apeninami, w którejś z wiosek zatopionych w gryce i kukurydzy.

Polacy na obczyźnie znają słynny film o „Małym świecie" z Fernandelem. Pewne jest, że ktokolwiek zobaczył ów obraz, nie potrafi już sobie inaczej wyobrazić don Camilla i Peppona, tylko jak, jak na filmie. Książka Guareschiego jest jednak pozycją niezmiernie charakterystyczną dla współczesnej nam chwili dziejowej. Toteż brak polskiego przekładu wśród wydanych lub zapowiedzianych tłumaczeń na 27 języków wolnego świata, od Vietnamu do Islandii, byłby rażący.

Zaledwie wszakże Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" zapowiedział wydanie „Małego świata" w tłumaczeniu polskim, otrzymał wśród wielu pochwał parę listów o tonacji skandalicznej. Pewien poważny człowiek pisze z taką pasją przeciw tej książce, iż czarny atrament przybiera pod jego piórem kolor czerwony. Zapewne w przewidywaniu, iż głos jego nie powstrzyma wydawców od puszczenia w świat książki, polemista kończy zwięzłym wnioskiem: „Widać rozmiękczenie mózgu doszło wśród panów do tego stopnia, że stać was na wydanie tego paskudztwa". Szczęście w nieszczęściu, że „Veritas" znalazł się w dość dobrym towarzystwie. We Francji stuknął kilka dni temu milionowy egzemplarz „Małego świata". We Włoszech wydawcy stracili rachubę. Coś pod trzy miliony. W Anglii siedemnaste wydanie pierwszej części poszło w świat w lutym bieżącego roku. Gdyby te miliony ludzi należących do kilkudziesięciu narodów, miały nabywać „Mały świat do Camilla" z sympatii do komunizmu, dlaczego by takim samym powodzeniem nie cieszyły się setki i tysiące książek autorów sowieckich? Coś innego widać ciągnie miliony ludzi do tej książki.

Komunizm, to nie jest, jak głosi bardzo wielu ludzi (m. in. Czesław Miłosz), mocna, wszechstronna i konsekwentna doktryna. Nie te w każdym razie przymioty pociągają masy do komunizmu. Komunizm, to jest przede wszystkim ogromne morze ludzkiej niewiedzy, mare tenebrarum nieświadomości. Masy pociąga ku komunizmowi jego nieznajomość. Widzą one w komunizmie nie to, czym on naprawdę jest, lecz to, czym nie jest. Przywódcy komunistyczni z zimną krwią okłamują ludy, wabiąc masy właśnie tym, co jest najbardziej komunizmowi obce. Francuzom obiecują większe zarobki i niskie ceny przy zachowaniu pełnej demokracji, Włochom nadanie ziemi, ludom kolorowym wolność polityczną, własne rządy, własne parlamenty, muzułmanom opiekę nad Islamem.

Zadaniem wszystkich przeciwników komunizmu powinno być zatem nie odwracanie ze wstrętem głowy, nie aprioryczne potępianie komunizmu w czambuł i odciąganie mas od niego bez równoczesnego otwarcia oczu na doświadczenia, wyniki i dążenia rządów komunistycznych, ale przeciwnie, dokładne i wszechstronne ułatwienie poznania komunizmu, jego założeń, celów i wyników, konfrontowanie na każdym kroku komunizmu z życiem. Nie ma nadziei na to, by ludzkość odwróciła się mechanicznie od komunizmu, skoro całe wieki nie potrafiła się odzwyczaić od pociągu do zła. Natura ciągnie człowieka do lasu.

Książka Jana Guareschiego jest przede wszystkim dziełem literackim. Mimo, iż autor w przedmowie do I wydania określa wyraźnie czas i miejsce opowiadań na pierwszy rok powojenny w okolicach nad Padem, przecież jednak akcja „Małego świata" dzieje się wszędzie indziej i kiedy indziej i nie traci rumieńców życia po siedmiu, jak dotąd, latach od druku pierwszego opowiadania w „Candido". Jest to dzieło literackiej fikcji, więc też jego ojczyzną i epoką jest fikcja. Nie istnieje w życiu don Camillo, ani Peppone, ani Signora Krystyna, ani Stary Biskup, lecz tylko siła talentu pisarskiego tchnęła w te postacie idealne życie. Nie ma w rzeczywistości takich księży ani takich komunistów, jak w książce Guareschiego, lecz żyją oni życiem fikcji, rzeczywistości wymyślonej i wymarzonej. Realizm pisarski nie na tym polega, aby życie niewolniczo kopiować, lecz na tym, aby życie zgodnie z jego prawami interpretować, wyjaśniać, przeprowadzać abstrakcyjne rachunki życia przy pomocy konkretnych jego cyfr. Dzieło literackie, to jakby czysta matematyka życia.

Człowiek, który zakazuje wydawania „Don Camilla" przypomina owego prostaka, który rzuca marchewką w czarny charakter na scenie.

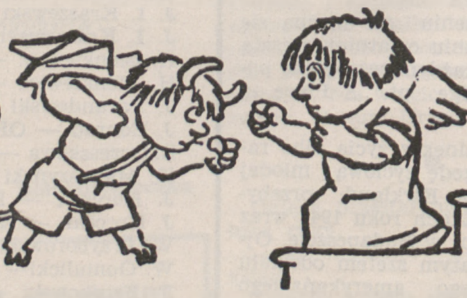
Ale równocześnie tajemnica literatury pięknej polega na tym, że wpływa ona na życie i naśladuje je tak dalece, że skłonni jesteśmy zawsze życie porównywać z dziełem literackim, szukać jego korzeni w rzeczywistości. Biorąc za podstawę tę arcyludzką potrzebę, musimy stwierdzić, że „Mały świat" jest pierwszą w literaturze światowej pogodną konfrontacją komunizmu z chrześcijaństwem.

Guareschi pokazuje na małych, powszednich testach życiowych, że komunizm, nawet najidealniej pojęty, to tylko nędzna karykatura chrześcijaństwa. Że w praktyce nie ma rozwiązań komunistycznych, gdyż wszystko co jest jego pozorną ewangelią mieści się prawdziwie w Ewangelii miłości. Zresztą ludzie „Małego świata" nie są zgoła komunistami, choć są o tym sami przekonani. Szukają w nim tego, czego niepodobna znaleźć w komunizmie. Są to bardzo dobrzy katolicy, których tylko okoliczności i zupełna nieświadomość doprowadziły do wywieszenia sierpa i młota w lokalach partyjnych i w klapach surdutów. Komunizm „Małego świata", to nie obca agentura, ale porywczy, nieprzemyślany bunt przeciw złej rzeczywistości. Ci ludzie, gdyby nie istniał komunizm, znaleźliby inną formę protestu i solidarności ludzi biednych i niepiśmiennych. Nie trzeba zapominać przy tym, iż mają oni pełne prawo do niechęci, a nawet wrogości wobec ustroju, w którym żyją. Poza tym są to Włosi, dla których życie jest, oprócz walki, nieustanną grą, wielkim teatrem i popisem. „Mały świat", to turniej dowcipu, zręczności i pokrytej pozorami gburstwa szlachetności między masą wiejską a wielkim siłaczem Chrystusowym, księdzem Kamilem.

„Mały świat", to książka, której zamierzeniem nie jest stawiać na równi komunizm i chrześcijaństwo, lecz dziełem, które wykazuje, że idee komunistyczne w zestawieniu z chrześcijaństwem topnieją, jak świeca przy ogniu.

To już chyba wszystko, co tłumacz może powiedzieć na drogę „Małemu Światu". Z dodatkiem, że jest to książka, która buduje duszę. Książka dobra.

Jan Bielatowicz



WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

SCHWEITZER I GEN. MARSHALL LAURETAMI NOBLA. Nagrodę pokojową Nobla za r. 1952 otrzymał dr Albert Schweitzer, równocześnie zaś ogłoszono, że nagroda ta za r. 1953 przyznana została gen. G. Marshallowi.

Schweitzer, liczący dziś lat 78, jest synem pastora alzackiego. Kariera życiowa jego jest fantastyczna. Posiadał on doktoraty z filozofii, teologii i muzyki i miał zapewnioną świetną przyszłość jako uczony. Wszystko to poświęcił, by stać się quasi-misjonarzem, zarazem zaś organizatorem szpitali i opieki lekarskiej w Kongo francuskim. Jak słychać, otrzymaną nagrodę, wynoszącą 12.000 funtów angielskich, zamierza on obrócić na budowę wzorowej wsi dla trędowatych w Afryce.

Nazwisko drugiego z laureatów związane jest nieodłącznie z tzw. „planem Marshalla", dzięki któremu kraje Europy zachodniej otrzymały ze Stanów Zjednoczonych tak wydatną pomoc finansową i gospodarczą po wojnie. Marshall liczy obecnie lat 72. Był w latach 1947 - 49 amerykańskim sekretarzem stanu, poprzednio zaś szefem sztabu sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Jego polityka, zwłaszcza w sprawie Chin, wywoływała silną krytykę w amerykańskich kołach politycznych. Niedawno Marshall z życia politycznego całkowicie się usunął.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. . Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d. kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. W P Ł A T Y : a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego: c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń : 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50 % drożej, na stronie tytułowej — 100 % drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro N. Alem, 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.: BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101. Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 80 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella"** Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P.M.K.**, Schorsmolenstraat, 9. Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers Suite**, 1. Western Ave. Montreal 6 oraz **International Book Service**, 220, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4. Bar. 16 B/2 (13 B), München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagertunveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gdyf Publications"** — 615 Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski** — 13171 McDougall, Detroit 12, Mich. oraz **J. Stojanowska**, 83, East 22nd Street, Bayonne, N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Filimore Ave. Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski** — Lund, Revigegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300 C, Roma.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.